Jedność

PISMO RELIGIJNO-SPOŁECZNE

ROK IV (XVIII) WARSZAWA LIPIEC 1960 NR 7

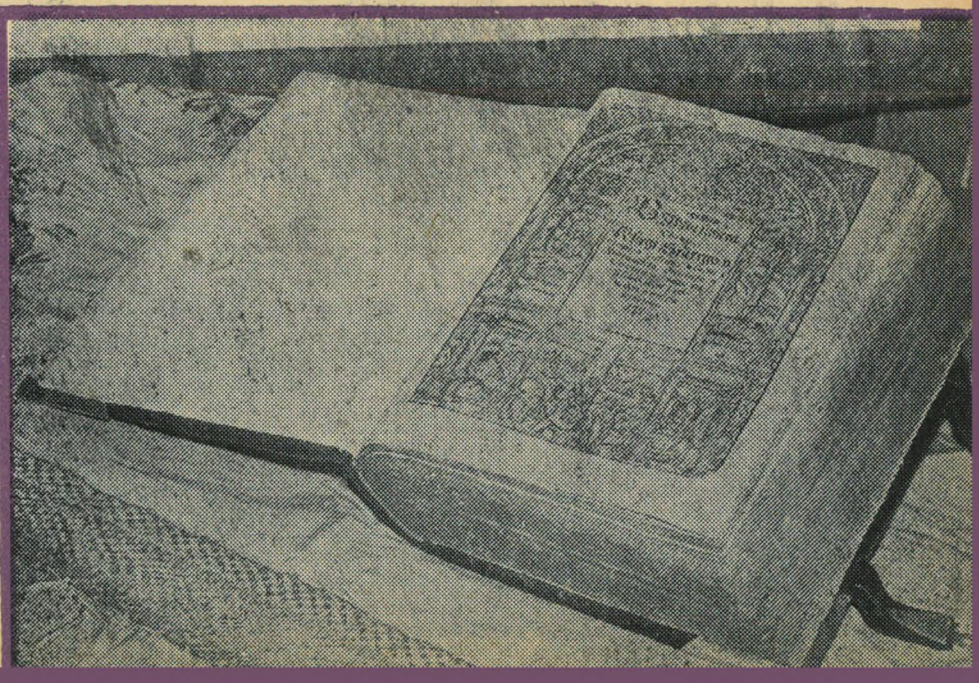

NA OKŁADCE: Najświetniejszy pomnik polskiej Reformacji — Biblia Brzeska (Radziwiłłowska) z 1563 r.

S P I S T R E Ś C I

1. Pobożność w duchu i w prawdzie — *Ks. Ryszard Trenkler* 145
2. Życie Jezusa w ujęciu Rudolfa Bultmanna — *Ks. dr Emil Jelinek* 147
3. Reformacja w Polsce 149
4. Zanik świadomości grzechu jako znak czasu — *Ks. dr Karol Kotula* 152
5. D. E. Jabłoński (1660—1741) — *Jan Konar* . 154
6. Zwycięski pochód chrześcijaństwa 155
7. Laska pani jenerałowej — *Adolf Nowaczyński* 156
8. MŁODA JEDNOTA Refleksje . . . 161
9. Reformacja w Polsce i jej wkład do naszej kultury — *O. Bartel* 161
10. Świat w r. 1909 . 164
11. Wierność Boga... Wierność ludzi — *O. Erbes-Stahl* 165
12. Toyohiko Kagawa nie żyje 166
13. W KILKU WIERSZACH 168
14. KRONIKA STOŁECZNA . III str. okł.
15. Konferencja Światowej Rady Wychowania Chrześcijańskiego i Związku Szkół Niedzielnych — *K.* . . . . . III str. okł.
16. Czy znasz Biblię i historię Kościoła III str. okł.

WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83
REDAGUJE KOLEGIUM: Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał
Z-ca Red. Nacz. Ks. Ryszard Trenkler
PRENUMERATA: rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł,
numer pojedynczy 4 zł
Konto PKO Warszawa — 1-7-110.097
Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła

Stoł. Zakł. Graf. Z. W. Zam. 433. Nakł. 2000 — C-16.

Jedność
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
ROK IV (XVIII) NR 7
WARSZAWA 1960 r. LIPIEC

Ks. Ryszard Trenkler

Pobożność w duchu i w prawdzie

Dz. Ap. 17,16—34

LUDZIE, odwiedzający wiele krajów i lądów, opowiadają często o religijności ich mieszkańców, wyznają oni religie, od najprymitywniejszych począwszy aż do najbardziej uduchowionych. Będą tam więc i żydzi i poganie, mahometanie, buddyści, szintoiści itd. Niejednemu z nas wydaje się, że pobożnymi mogą być tylko chrześcijanie, wszyscy inni to bezbożnicy. Wcale nie. Kto widział pobożnego buddystę, mahometanina lub żyda, kto widział, jak oni żarliwie potrafią się modlić, jak oni z zapałem i bezgraniczną wiarą oddają się licznym, jakże nieraz trudnym, praktykom religijnym, ten nabierze więcej szacunku dla ich przekonań religijnych a jednocześnie opuści wiele ze swej chełpliwości i wyniosłości. A mimo to nikomu z chrześcijan, którzy to widzieli, nie przyjdzie na myśl, aby zamienić swoją nawet mizerną tylko wiarę chrześcijańską na buddystyczną czy mahometańską.

Ale zejdźmy, umiłowani w Panu, z tych dalekich dróg, przecinających odległe morza i lądy i spójrzmy z rozwagą i spokojem na nasze miasta i wsie, przyjrzyjmy się naszemu polskiemu ludowi, który w swej masie codziennie, a w szczególności w niedziele i święta, wypełnia tak szczelnie jakże piękne, nieraz wprost kipiące złotem kościoły i kaplice. Doprawdy, z zazdrością przyglądamy się zgrzybiałej staruszce lub zdrowemu młodzieńcowi, klęczącemu przed ołtarzem z obrazem lub figurą tego czy innego świętego. Myśl oderwana od świata zewnętrznego, oczy pełne ufności, skupione całkowicie i bez reszty w przedmiot swego kultu. Oczywiście bywa tam także inaczej. Można napotkać bezmyślne wymawianie słów, świadczące o tym, że czci się Boga tylko wargami a nie sercem, ale obraz tamtej staruszki lub owego młodzieńca często tam możesz spotkać, a tak rzadko u nas, w naszym kościele.

Mógłby kto powiedzieć: to są tylko sporadyczne wypadki. Przyjrzyjmy się zbiorowym aktom katolickiej pobożności w naszym kraju. Owszem, znajdziesz uroczystości odpustowe, którymi się absolutnie zbudować nie możesz, a częściej raczej zgorszyć, ale możesz być również świadkiem wielkich, dobrze wyreżyserowanych manifestacji religijnych na wielką skalę, świadczących bądź co bądź o żarliwej pobożności, o głębokiej potrzebie Boga, o wielkim przywiązaniu do Kościoła — czego nam bardzo, bardzo brakuje.

Można to wszystko podziwiać i w pewnym sensie nawet zazdrościć, ale tylko do pewnego stopnia. Podziw niektórych ewangelików jest tak wielki, że gotowi są przyłączyć się do tych rozmodlonych i rozentuzjazmowanych tłumów. U innych, bardziej trzeźwych protestantów powstaje coś w rodzaju głębokiego żalu: gdybyż ten nurt głębokiej niewątpliwie żarliwości religijnej skierować w koryto czystej ewangelicznej prawdy, jakież wspaniałe kwiaty wiary, w postaci miłości, uczciwości, sprawiedliwości i prawości mogłyby zakwitnąć na drzewie naszej polskiej rzeczywistości! A tymczasem obok rozmodlonych tłumów, przepysznych procesji, niemal równolegle, rośnie i kwitnie tyle chwastów życia obywatelskiego, społecznego i rodzinnego. Odczuwamy to instynktownie, że mimo wielu rzeczy podziwu godnych, z tą żarliwością i pobożnością jest coś nie w porządku. Czy nie dostrzegamy czegoś podobnego, jak Apostoł Paweł, gdy po raz pierwszy stanął w najsławniejszym bodaj mieście owych czasów, w Atenach?

Zanim rozpoczął swoją pracę misyjną, pragnął się zorientować w duchowym podłożu życia mieszkańców miasta. Odwiedził liczne świątynie pogańskie, które swą pięknością z pewnością przewyższały niejedną, jakże szacowną i piękną świątynię naszego kraju. Cudne ołtarze, kipiące złotem, przepiękne misteria pogańskie, celebrowane przez kapłanów i kapłanki w barwnych szatach i ten lud, oddający cześć licznym posągom o urzekającej formie i rozbrajającym wyrazie kunsztownie wyrzeźbionej twarzy. Jakżeż pobożni byli ci Ateńczycy! I podziwiał szczerze i być może ze

wzruszeniem św. Paweł tę ich pobożność, ale jednocześnie żal mu było tego ludu, który swą religijność i pobożność skierował w fałszywym kierunku, że lud te wspaniałe uczucia religijne tak bezprzykładnie trwoni, tak bezużytecznie trwoni. Pobożność podziwu godna, ale cóż, kiedy lud nie jest czcicielem prawdziwego Boga, Stwórcy wszechrzeczy, lecz uprawia kult bałwochwalczy. Apostoł Paweł zwrócił się na areopagu tymi słowy do zgromadzonego ludu: „Mężowie ateńscy! z wszystkiego widzę, że się bardzo bogów boicie. Albowiem przechodząc i przypatrując się waszym nabożeństwom, znalazłem też ołtarz, na którym napisane było: Nieznajomemu Bogu. Którego tedy nie znając czcicie, tego ja wam opowiadam".

W tym leży istota rzeczy. Nie wystarczy być pobożnym, nie wystarczy się modlić, nie wystarczy brać udział we wspaniałych nabożeństwach, nie wystarczy mieć piękne świątynie. Lecz najistotniejszą rzeczą jest to, kto jest przedmiotem naszego kultu religijnego, ku czyjej czci wystawione są świątynie, do kogo płyną nasze modły. Absolutnie nie jestem przekonany, gdy mi pewne teologie mówią, że oddając cześć obrazowi świętemu, ikonie, czczę nie przedmioty, lecz to, co one wyobrażają. Na to wyraźnie odpowiada ap. Paweł w tekście naszym, gdy mówi: „Jeżeli tedy Bóg był pobłażliwy dla czasów nieświadomości, obecnie przykazuje wszystkim ludziom wszędzie, aby się opamiętali".

Co to znaczy? — Od czasu, kiedy padło z ust Zbawiciela słowo: „Bóg jest duchem, a ci, którzy go czczą, winni mu w duchu i w prawdzie cześć oddawać" — nie ma więcej miejsca dla kultu martwych przedmiotów lub stworzenia. Chrześcijanin nie może lekceważąco przejść do porządku dziennego nad słowami Apostoła: „Bóg, który uczynił świat i wszystko, co na nim, ten będąc Panem nieba i ziemi, nie mieszka w świątyniach ręką uczynionych, ani mu się służy rękami ludzkimi, jakby czego potrzebował, ponieważ sam daje życie i tchnienie i wszystko...". Bóg jest we wszystkim, a wszystko przeniknięte Bogiem, w nim żyjemy, w nim się poruszamy... „nie powinniśmy rozumieć, żeby bóstwo miało być podobne do złota albo srebra, albo do kamienia, utworu sztuki i pomysłu ludzkiego".

My ewangelicy jesteśmy chrześcijanami Biblii, Słowa Bożego Starego i Nowego Testamentu, wyznawcami Boga — Ducha Wszechogarniającego, my rozumiemy powyższe słowa tak, jak je zrozumieć należy, bo są słowami prostymi i jednoznacznymi i dlatego trwamy przy swojej prostocie kultu i urządzeń kultowych i nic nas nie ściągnie z prawej biblijnej drogi. Ani świątynia-cud, ani przykład wspaniałej pobożności, jeżeli ta nie jest skierowana ku Bogu, który jest duchem, ku Bogu, w Trójcy św. jedynemu. O, my dobrze wiemy, że ten lud pobożny, prosty i nie tylko prosty, lubuje się tak bardzo w zewnętrznym przepychu, tak ciepło mu z tym zewnętrznym blichtrem, tak wygodnie z rzeszą pośredników. Z jakim podziwem patrzy na te wspaniałości dziecko, podczas gdy nasze świątynie są pełne prostoty i niekiedy wydają się nam surowe, zimne, mało przytulne. Bo też wielka jest pokusa: posiadać Boga blisko, żeby go każdej chwili namacalnie mieć przy sobie, oglądać go, dotykać się, głaskać, całować go.

Człowiek na szczęście jest w stanie rozeznać, co jest czcią Boga w duchu i w prawdzie, a co jest bałwochwalstwem. Rozum dla wiary nie jest wszystkim, ale rozum jest darem Bożym, który wierze może być pomocnym. Są rzeczy w religii, których rozum zgłębić nie potrafi, a wówczas należy uzasadnienia szukać w Objawieniu, ale samo poznanie Boga-Stwórcy Wszechrzeczy jest przywilejem rozumu. Stąd to przecież starożytni mędrcy, filozofowie, jak Platon, Arystoteles i inni na drodze rozumowych dociekań dochodzili do wiary w Boga, a właściwie do pewności, że istnieć musi ten najwyższy, samoistny byt, obojętnie jak go nazwiemy. I dlatego też wiedza, ów wspaniały wytwór rozumu ludzkiego, bynajmniej nie zagraża wierze religijnej, czego dowodem jest to, że najtęższe umysły, autorytety wiedzy ścisłej, jak Pasteur, Einstein i wielu, wielu innych wierzyło w istnienie Boga.

Niektórzy zbyt pochopnie twierdzą, że coraz szersze i głębsze poznanie kosmosu i być może bliski termin podróży międzyplanetarnych zada śmiertelny cios wierze w Boga. Już teraz podnoszą się poważne głosy, że skok na bliższe i najdalsze planety i gwiazdy jeszcze bardziej niż dotychczas przekona człowieka, jak wielkim i cudownym jest wszechświat i jeszcze bardziej wyraźnie wprawi człowieka w podziw przed tym, który tę cudowną machinę wszechświata stworzył i nadal utrzymuje.

Celem i przeznaczeniem wszystkich ludzi, przez Boga stworzonych jest wg Apostoła Pawła „aby szukały Pana, czy też może nie namacają i znajdą go". Naukę tę uzupełnia słowem zapisanym w liście do Rzymian: „Dlatego że, co może być wiadome o Bogu, jest w nich jawne, gdyż im Bóg objawił. Bo niewidzialna jego istota, od stworzenia świata w dziełach jego poznawana, jest widzialna, to jest wieczna jego moc i Bóstwo, na to, aby oni (t.zn. poganie — przyp. mój) byli bez wymówki". (Rzym. 1,19—20).

A ponieważ tego Boga, Ducha i Ojca zarazem ukazał nam jednorodzony Syn Boży Jezus Chrystus, dlatego wszystko inne o Bogu, co już nie może być stwierdzone przy pomocy naszego rozumu, a co nam powiedział, przyjmujemy jako prawdę objawioną. I tylko przed tą prawdą Bożą się korzymy i do tego Boga w duchu i w prawdzie kierujemy nasze myśli, nasze uczucia i tylko temu Bogu w ten sposób ofiarowujemy wszystkie akty naszej religijności i pobożności.

Bóg jest absolutną prawdą, a więc i cześć Jemu należna musi być z prawdy.

Ks. dr Emil Jelinek

Życie Jezusa w ujęciu Rudolfa Bultmanna

Życie Jezusa w ujęciu Rudolfa Bultmanna to paradoks. Nie ma mowy o jakimkolwiek życiu Jezusa w ujęciu Bultmanna. Pod tym względem znamienna jest książka Bultmanna o Jezusie (Jezus, Berlin 1926, 2 wyd. 1951). O życiu Jezusa nie dowiemy się z niej niemal niczego, zaś nauka Jezusa została w niej zredukowana do najdalej posuniętego minimum, jakie zdaniem marburgskiego profesora drogą krytyki i literackiej analizy można wydobyć z najstarszej warstwy prachrześcijańskiego zwiastowania.

Nie chodzi tu więc o życie Jezusa, lecz raczej o to, co Bultmann myśli o Jezusie. Nie jest on wprawdzie wielkim twórczym duchem, ale jego wpływ, szczególnie na młodsze pokolenie stale jeszcze jest znaczny, a przeto nie od rzeczy będzie zapoznać się bliżej z jego zapatrywaniami na osobę Jezusa.

Najtypowszą tezą Bultmanna jest, że Jezus był tylko uczonym rabbi, nauczycielem Tory. W myśl tego założenia Bultmann w swej książce „Das Urchristentum im Rahmen der antiken Religionen" mówi o proroku i rabinie Jezusie tylko w ramach żydostwa, a nie w skali światowej. Zdaniem Bultmanna również i prazbór znał Jezusa tylko jako rabina i nauczyciela.

Nie jest to oczywiście twierdzenie oryginalne; Bultmann powtarza je za Heitmüllerem i Bussetem [1]). Nowe i oryginalne u Bultmanna jest chyba tylko to, że jego zdaniem Jezus-rabbi z biegiem czasu pod wpływem „wielkanocnej wiary" uczniów ze zwiastującego staje się zwiastowanym. Już prazbór głosi nie tylko naukę Mistrza z Nazaretu, lecz zwiastuje i Jego samego. Ale zdaniem Bultmanna sam Jezus nigdy nie uważał się za Mesjasza, a tym mniej za Syna Bożego. Wprawdzie już prazbór nadał Jezusowi predykat Syna Bożego, ale predykat ten podobno nie był pojmowany jako określenie boskiej istoty Jezusa, lecz jedynie i wyłącznie jako mesjaniczny tytuł, którym obdarzano Jezusa w sensie adopcjańskim, mniej więcej tak, jak to robi Psalm 2.

Zdaniem Bultmanna pojęcie „Syn Boży" ulegało procesowi ewolucji. Zrazu oznaczało ono podobno tylko urząd, a dopiero z biegiem czasu pochodzenie mandatariusza tego urzędu. W ostatecznej fazie ewolucji „Syn Boży" jest nie tylko Pomazańcem, Mesjaszem, lecz istotą, pochodzącą podobnie jak Danielowski Syn Człowieczy i Filonowski LOGOS i SOPHIA z nieba. Apostoł Paweł bez jakichkolwiek skrupułów przenosi na osobę Chrystusa doksologiczną formułkę, odnoszącą się do samego Boga („który jest nad wszystkimi Bóg błogosławiony na wieki. Amen", Rz 9,5). Listy pastoralne już są pełne tego rodzaju formułek, i używają ich na przemian w stosunku do Boga i w stosunku do Chrystusa.

W Dziejach Apostolskich (20, 28) chyba tylko niechcący zostało użyte wyrażenie charakteru niemal patripasjanicznego, ale w pismach Janowskich boskość Jezusa jest już definitywnie ustalonym pojęciem chrystologicznym. Przedwieczny LOGOS jest „bogiem" (THEOS, nie HO THEOD, J 1,1), jest „jednorodzonym synem" (MONOGENÉS, J 1, 18; 3, 14, 16, 18, oraz 1J 4, 9). Tomasz w ewangelii Jana (20, 28) zwraca się do Zmartwychwstałego słowami „Pan mój i Bóg mój", a w 1J 5,20 Jezus nazywany jest już wprost „Bogiem prawdziwym".

Ten proces przemiany Jezusa-nauczyciela w Syna Bożego, wywołany „wielkanocną wiarą" uczniów, nastąpił zdaniem Bultmanna dopiero na gruncie zborów hellenistycznych, gdzieś w Antiochii, Damaszku czy Tarsie. Świat grecko-rzymskich misteriów i kultów religijnych znał „mężów bożych" (THEIOI ANDRES) i dla chrześcijanina pochodzenia pogańskiego termin „syn boży" był zrozumialszy, niż nieprzystępne starotestamentowe pojęcie pomazańca-mesjasza. I tak dopiero na gruncie hellenistycznym Jezus-rabbi staje się Synem Bożym, istotą wyposażoną w boską moc (DYNAMIS) i boskie pochodzenie (por. Bultmann: Theologie des NT, Tübingen 1953, 127). Wprawdzie już w ewangeliach synoptycznych jest mowa o Jezusie jako o Synu Bożym, ale Bultmann twierdzi (nie bardzo wiem, na jakiej podstawie), że są to miejsca późniejszego pochodzenia. Podobno tylko w Mk 9, 7 jest tradycja starsza. Zdaniem Bultmanna właśnie tu znalazła swój wyraz owa „wielkanocna wiara" jerozolimskiego zboru (Theologie, 128).

Swoje stanowisko wypowiedział Bultmann najostrzej i najradykalniej w „Kerygma und Mythos" (Hamburg 1948, I, 148). Tu twierdzi, że Jezus występuje w kerygmacie chrześcijańskim tylko jako „fenomen eschatologiczny". W artykule „Das christologische Bekenntnis des ökumenischen Rates" (w Glaube und Verstehen, Tübingen 1952, II, 246—261) Bultmann twierdzi, że Chrystus jako fenomen eschatologiczny nie jest obiektywnym wydarzeniem przeszłości. Historyczny Jezus posiada tylko relatywne znaczenie, a Zmartwychwstały jest rzeczywisty tylko w chrześcijańskim kerygmacie.

Toteż prazbór zdaniem Bultmanna nie przypisywał specjalnego znaczenia do tego, co Jezus robił w przeszłości, albowiem CHRISTOS KATA SÁRKA nie interesował go zupełnie (Glaube und Verstehen, Tübingen 1954, I, 101). Zbór całą swą nadzieję opierał na przyszłości, a nie na przeszłości, oczekując powtórnego przyjścia Jezusa na świat, tym razem już jako

zapowiedzianego Mesjasza i Syna człowieczego (Theologie, 37).

O samym życiu i osobie Jezusa zdaniem Bultmanna nic nie wiemy, ponieważ najstarsze źródła chrześcijańskie nie interesowały się osobą Jezusa. Zresztą źródła te są podobno tak fragmentaryczne i do tego stopnia przesycone pierwiastkami legendarnymi, że na ich podstawie nie sposób napisać życia Jezusa. Innych zaś źródeł nie posiadamy. Ewangelia Jana jako źródło w ogóle nie wchodzi w rachubę. To zaś, co podają synoptycy, to nie są obiektywne wiadomości o Jezusie, lecz wyraz wiary prazboru w Jezusa Chrystusa.

Jak widać, z historycznego Jezusa Bultmannowi nic nie pozostało. Historyczny Jezus rozwiał się jak mgła w świetle egzystencjalnej interpretacji uczonego marburgskiego profesora. Tylko niewielki krok dzieli Bultmanna od najradykalniejszego twierdzenia liberalnej teologii ubiegłego wieku, że Jezus w ogóle nigdy nie istniał. Bultmann jednakże tak daleko nie idzie. Osobiście nie wątpi o egzystencji Jezusa (Jesus, 16). Jezus żył, pytanie tylko, do jakiego stopnia obraz Jezusa synoptyków jest obiektywny (Jesus, 17). My w każdym razie o samej osobie Jesusa — powiada Bultmann — „so gut wie nichts mehr wissen können" (Jesus, 12).

Smutne, ale prawdziwe! Uczony nowotestamentowiec nic nie wie o Jezusie! Nie dziwmy się potem, że mówi on o „odmitologizowaniu" Nowego Testamentu i pragnie, aby z osoby Jezusa pozostał tylko „nosiciel słowa" [3]).

Niebezpieczeństwo grożące teologii ze strony egzystencjalnej interpretacji Bultmanna spostrzegł pierwszy Karol Barth. W swej „Kirchliche Dogmatik" (Zürich 1948, III/2, 534) wyraźnie powiedział, że chrystologiczne wypowiedzi Nowego Testamentu są obiektywnymi aktami Boga i Ojca, Syna i Ducha Świętego, i pod żadnym pozorem nie wolno ich redukować tak, jak to właśnie robi Bultmann.

Nils Alstrup Dahl zastanawia się, czy przypadkiem egzystencjalna interpretacja Bultmanna nie tyle „odmitologizowuje", ile raczej „odhistoryzowuje" Nowy Testament (str. 130). Dahl słusznie upatruje w tej metodzie niebezpieczeństwo doketyzmu (str. 134). Jeżeli bowiem ziemskie życie Jezusa posiada tylko relatywne znaczenie, to czyż inkarnacja przedwiecznego Słowa nie staje się pustym paradoksem? (str. 131) [4]).

Jeszcze ostrzej przeciwko Bultmannowi wypowiedział się J. Bieneck w swojej dysertacji doktorskiej [5]). Nie będziemy się jednak o tym tutaj rozwodzić. Powiemy sobie o tym innym razem.

Wszystkie te krytyczne uwagi nie robią na marburgczyku wielkiego wrażenia. Ba, nawet i uczeń Bultmanna, historyk Ernst Käsemann (Das Problem des hist. Jesus, w Zeitschrift für Theol. u. Kirche 1954, 125—153) trzyma się jeszcze na ogół w ramach koncepcji swojego mistrza, ale za to drugi uczeń Bultmanna, teolog Günther Bornkamm (Jesus von Nazareth, Stuttgart 1956) wyraźnie już łagodzi radykalizm swego nauczyciela.

Jego zdaniem podanie ewangeliczne spoczywa na przedwielkanocnej historii Jezusa. „W kerygmacie należy dopatrywać się dziejów, a w dziejach znowu kerygmatu" (Jesus, 18). To już wielki krok naprzód. Paul Althaus (Das sogenannte Kerygma und der historische Jesus, Gütersloh 1958, 44) słusznie stwierdza, że sceptycyzm Bornkamma jest znacznie słabszy, niż sceptycyzm Bultmanna.

Bultmannowi chodzi w pierwszym rzędzie o naukę Jezusa, a nie o samego Jezusa. Jego książka o Jezusie, aczkolwiek nosi tytuł „Jesus", o samym Jezusie nic nie mówi, natomiast nauce Jezusa poświęca aż trzy jednako zatytułowane rozdziały. Bornkamm mówi już o Jezusie więcej, ale i on jest przekonany, że niepodobna ująć życia Jezusa biograficznie i psychologicznie. Niemniej jednak ewangelie, zdaniem Bornkamma, przedstawiają historyczną postać Jezusa „in unmittelbarer Mächtigkeit" (str. 21). O samym życiu Jezusa dowiemy się od Bornkamma jednakże niewiele. Co krok słyszymy jego sceptyczne westchnienie: Nie wiemy.

---

1. W. Heitmüller: Zum Problem Paulus und Jesus, w Zeitschrift für neutestamentliche Wissenschaft XIII, 1912, 320, oraz artykuł „Jesus Christus" w RGG, III, 343. — W. Bousset: Kyrios Christos 1913, 2. wyd. 1921.

2. Por. Rz 1, 5; 2K 11, 35; Ef 4,6; O. Cullmann: Chrystus und die Zeit, Zürich 1946, 157.

3. Por. NT und Mithologie w Kerygma und Mythos, 44. — Jesus, 198; Glauben und Verstehen, I, 228, oraz Schweiz Theol. Umschau, Nr 2, 1951, 25.

4. N. A. Dahl: Der historische Jesus als geschichtswissenschaftliches und theologisches Problem, w Kerygma und Dogma, 1955, I, 109—137.

5 J. Bienek: Sohn Gattes als Christusbezeichnung, Zürich 1951.

Każdy ewangelik czyta i propaguje «JEDNOTĘ»

REFORMACJA W POLSCE

Uwagi o przebiegu wystawy

W dwóch poprzednich numerach „Jednoty" omawialiśmy pokrótce cel i otwarcie zorganizowanej przez Kościół Reformowany w maju br. wystawy „Reformacja w Polsce". Jaki był jej przebieg i czy spełniła ona zakreślone zadanie?

Po pierwsze, należałoby powiedzieć coś o jej organizacji i treści. Wystawa mieściła się w czterech niewielkich salach domu parafii ewang.-reformowanej w Warszawie, co z góry determinowało jej organizacyjne możliwości. Należy powiedzieć, że po rozejrzeniu się w materiałach, ujęła ona ca 1/4 część dostępnych eksponatów. **Pomimo to, w 25 stoiskach znalazło się 250 eksponatów, w tym: 74 starych druków m. in. pierwsze wydania Nowego Test. (1551) i Biblii (1563) i in., 84 nowych druków, 14 rękopisów i dokumentów archiwalnych (XVI — XVIII w.), 22 medale pamiątkowe XVI — XIX w.), 17 fotografii i fotokopii (ikonografia i do-**

Wchodzimy do hallu Wystawy „Reformacja w Polsce". Ekran przypomina o 400-leciu zgonu reformatora Jana Łaskiego. Łódź na polach — „Navigare necesse est".

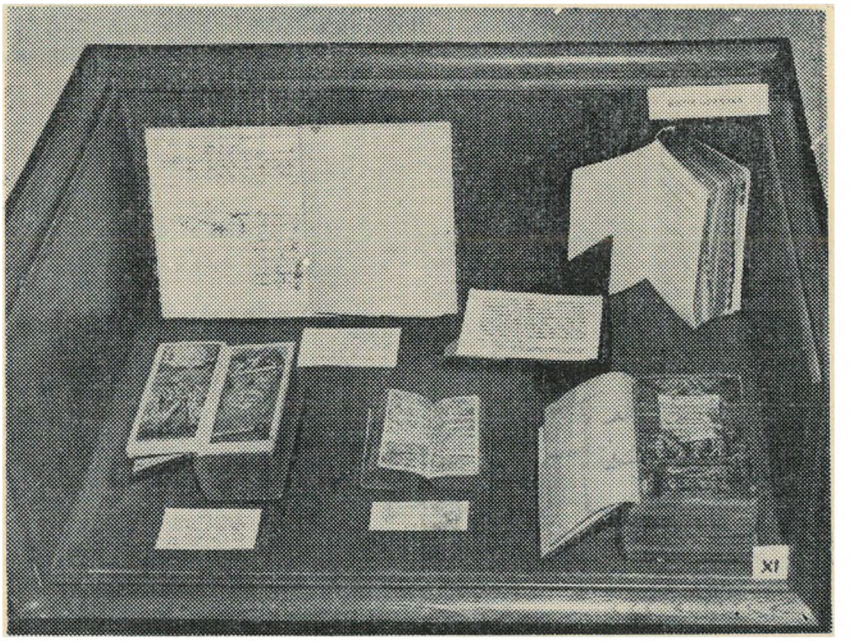

Bogata jest historia przekładów Biblii polskiej. I dziś korzystamy z pracy tłumaczy Biblii Gdańskiej z 1632 r.

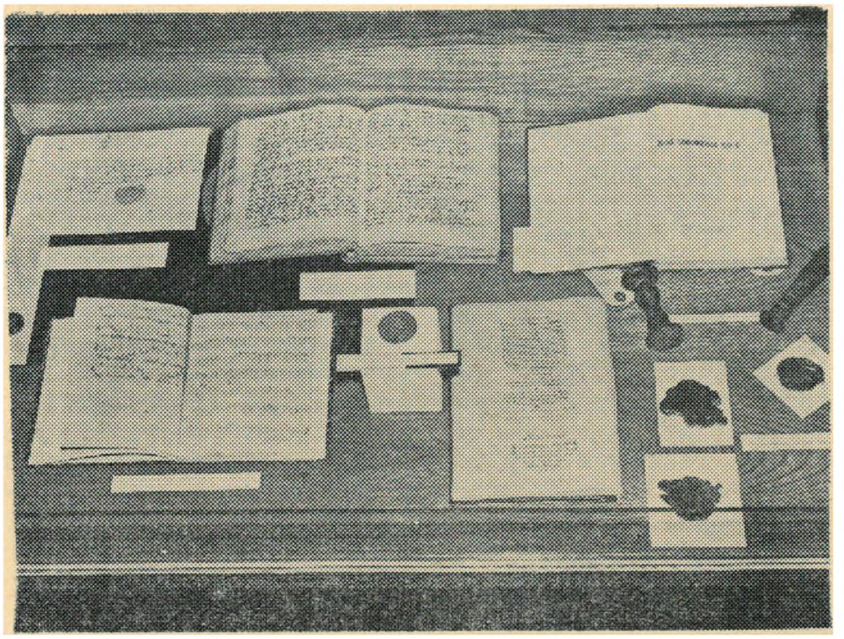

których przypadkach okazywała się konieczność dodatkowych wyjaśnień. Brakowi temu zaradzi w pewnej mierze, lecz już post factum, ilustrowany prospekt — pamiątkowy albumik po wystawie.

Wystawę zwiedziło ca 1500 osób. Księga pamiątkowa, wyłożona w hallu, posłużyła wielu zwiedzającym do zanotowania swych uwag i opinii o ekspozycji. **Wiele z nich zawiera słowa uznania i wdzięczności za możliwość obejrzenia oryginalnych dokumentów bogatej przeszłości reformacyjnej w**

Pamiątki po Braciach Czeskich, stare pieczęcie i druki z okresu Zgody Sandomierskiej

kumenty), 16 realiów (naczynia komunijne, tkaniny kościelne XVI — XIX w.), ponadto szereg plansz, tablic i map.

Wszystko to razem dało zwiedzającym, a choć trochę interesującym się dziejami reformacji w Polsce, plastyczny obraz powstawania i rozwoju ruchu reformacyjnego w naszym kraju.

Organizatorzy nie ustrzegli się pewnych usterek, polegających przede wszystkim na zbyt skromnym materiale objaśniającym. Z tego względu w nie-

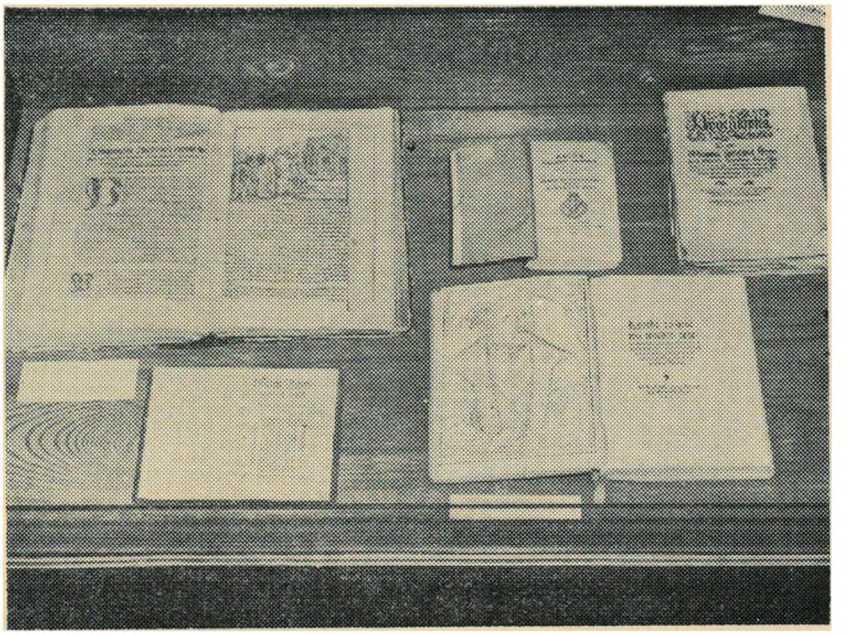

Postylla, Apokalipsa, Żywot człowieka poczciwego i podobizna Mikołaja Reja przypominają początki Reformacji

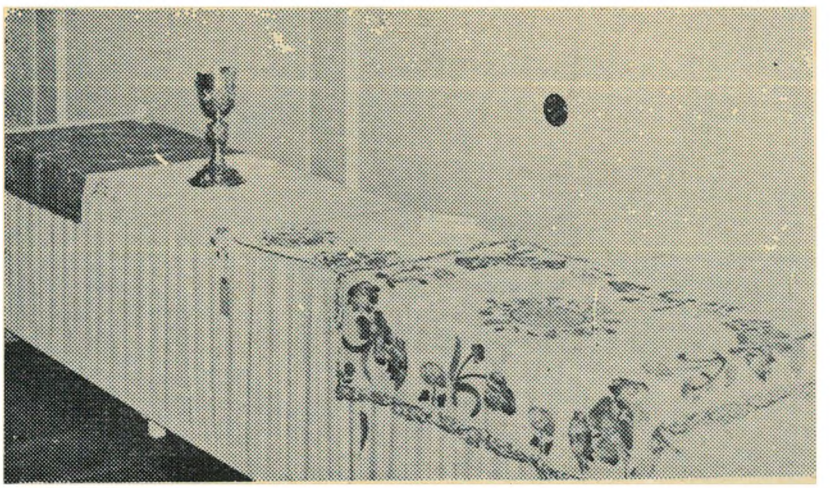

naszym kraju, niektóre zawierają uwagi na temat potrzeby szerszej popularyzacji postępowej myśli reformacyjnej w naszym społeczeństwie. Znalazły się również wypowiedzi, podsuwające myśl udostępnienia wystawy w innych miastach, co oczywiście nie jest sprawą zbyt łatwą i prostą.

Na tym miejscu pragnąłbym zawiadomić zainteresowanych, że chętni będą mogli w przy-

Kielich i nakrycia Komunijne z XVII i XVIII w.

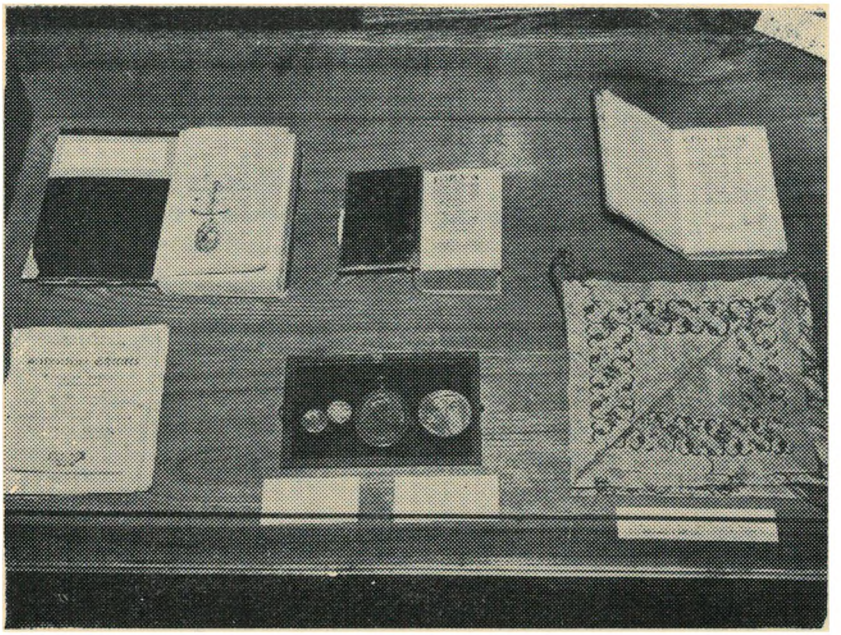

niane wrażenie. Poważne i głębokie referaty, wygłoszone w sali z szacownymi pamiątkami przeszłości, skłaniały mimo woli do zastanowienia się nad dalszym ciągiem, nad współczesnym stanem i koniecznością kontynuacji dzieła Łaskich, Glicznerów i Mikołajewskich. Referaty te będą opublikowane w „Jednocie". W numerze niniejszym podajemy pierwszą część referatu prof. dr O. Bartla, w numerze następnym zamieścimy również omówienie poszczególnych stoisk i eksponatów.

Gablota z pamiątkami po reformatorze Janie Łaskim.

szłości skorzystać z fotograficznej dokumentacji wystawy, w formie plansz z objaśnieniami.

Około połowę zwiedzających stanowili wyznawcy różnych Kościołów protestanckich, w tym i młodzież, wśród pozostałych zauważyć można było literatów, naukowców, dziennikarzy i spory odsetek młodzieży szkolnej, przychodzącej całymi grupami. Poza tym wystawę zwiedziło kilkunastu cudzoziemców.

W dniu 31 maja o godz. 17.30 odbyło się uroczyste zamknięcie wystawy. Złożyło się nań wstępne przemówienie **ks. sup. J. Niewieczerzała, który omówił przebieg wystawy, po czym zostały wygłoszone dwa referaty: 1 — „Reformacja w Polsce i jej wkład do naszej kultury" — prof. dr O. Bartel, i 2 — „Biblia w szacie polskiej od XVI w. po dzień dzisiejszy" — ks. bp prof. dr J. Szerud.**

Wieczór powyższy, zamknięty hymnem reformacyjnym, był godnym zakończeniem miesiąca wystawowego i pozostawił na obecnych niezapom-

Zwiedzający składają podpisy w księdze pamiątkowej

Ks. dr Karol Kotula

ZANIK ŚWIADOMOŚCI GRZECHU JAKO ZNAK CZASU

1. **Rozwielmożnienie się zła.** Kto śledzi uważnie bieg dzisiejszego świata i przypatruje się jego sprawom i życiu ludzkości, tego musi zaniepokoić niebywałe rozwielmożnienie się zła na wszystkich szczeblach ludzkiego społeczeństwa i we wszystkich dziedzinach. Dzieje się to u góry, na wyżynach, w wielkiej światowej polityce, gdzie jesteśmy świadkami niesłychanej przewrotności, zakłamania, obyczajów urągających wszelkim pojęciom uczciwości, dzieje się to u dołu, na nizinach, w szarym, pospolitym życiu, gdzie się zgoła codziennie czyta o nadużyciach, malwersacjach, przestępstwach dokonywanych przez ludzi wszystkich kategorii, nie wyłączając niestety ludzi o akademickim wykształceniu, gdzie się słyszy ciągle o niebywałym moralnym zepsuciu młodzieży, aż do dzieci włącznie. Biadają nad tym stanem moraliści, załamują ręce socjologowie i pedagogowie i nie znajdują rady.

Skąd to pochodzi? Jaka tego przyczyna? Czyżby to miały być jakieś apokaliptyczne znaki końca czasów, o czym mówi Objawienie św. Jana: „Niesprawiedliwy niech jeszcze czyni nieprawość, i plugawy niech się jeszcze plugawi" (Obj. św. Jana 22,11).

A może to tylko złudzenie, jednostronne spoglądanie na czasy dzisiejsze. Czy dawniej było inaczej? Niewątpliwie i w dawniejszych czasach działo się wiele złego, zepsucie także panowało w różnych dziedzinach i na różnych szczeblach ludzkiego społeczeństwa. Ale jak wojny nie były nigdy tak powszechne, jak ostatnie wojny światowe, tak także zło nie było nigdy rzeczą tak powszechną, pospolitą, jak dzisiaj.

2. **Przyczyny.** Różne to ma powody, różne się na to składają przyczyny. I polityczne rozdarcie świata, i brak właściwego zakończenia wojny, co powoduje niepewność jutra, i imperialistyczne zapędy mocarstw, i ujemne skutki i pozostałości wojenne, i niedojrzałe jeszcze, kształtujące się dopiero nowe stosunki społeczne, i nie rozwinięte jeszcze dostatecznie poszanowanie dobra publicznego, i rozbicie rodziny, i upowszechnienie środków komunikacji, i kultury, i przerost kultury materialnej nad kulturą duchową, a może i to, o czym ostatnio tyle dyskutowano, wielki rozwój techniki wyprzedzający rozwój duchowy społeczeństwa.

Niewątpliwie wszystko to wywiera ujemny wpływ na człowieka dzisiejszego i społeczeństwo. Ale zasadnicza przyczyna tkwi w czym innym, leży głębiej. Świat dzisiejszy zatracił zupełnie świadomość grzechu i ten brak przenika całą dzisiejszą kulturę. Wprawdzie i dzisiejszy świat odróżnia złe od dobrego i ma na określenie zła różne wyrazy: przestępstwo, występek, przewinienie, zbrodnia, ale to wszystko nie oddaje tego, co wyraża słowo: grzech. A to ma znaczenie znacznie większe i skutkami swymi sięga daleko głębiej i szerzej, niż by się na pozór wydawało.

3. **Słowo: „grzech" słowem obmierzłym.** Żadne słowo nie jest dzisiaj tak obmierzłe, niechętnie słyszane, niepolityczne jak słowo grzech. Z słownika kulturalnego człowieka jest słowo to wykreślone. Mówienie o grzechu jest uważane za nieprzyzwoitość. Ma to różne przyczyny.

Przyczyną jest modne w nowszych czasach zaprzeczanie względnie usprawiedliwianie grzechu naturą człowieka, brakiem wykształcenia i oświaty, chorobliwymi stanami ciała lub duszy, warunkami społecznymi. Najniebezpieczniejszą teorią usprawiedliwiania jest wywodzące się od Nietschego twierdzenie, że grzech jest naturalnym wyżyciem się popędów człowieka, samoobroną, słusznym i naturalnym użyciem siły w walce z tym, co jest słabe, w której to walce człowiek się rozwija i doskonali. Do czego to prowadzi, to pokazała dosadnie ostatnia wojna i okupacja.

Nie bez wpływu na to bojaźliwe lub rozmyślne unikanie wyrazu grzech pozostaje powszechne dzisiaj niesłychane lekceważenie grzechu i jakaś niepojęta lekkomyślność w traktowaniu tej sprawy. Znajduje to między innymi wyraz w spotykanym bardzo często wyśmiewaniu i przekręcaniu biblijnej historii upadku w grzech.

A przecież jest to historia pomimo całej swojej naiwności opowiadania tak poważna, tak głęboka, tak wchodząca w najgłębsze tajniki duszy ludzkiej, i tak tragiczna, że ktokolwiek się z nią bliżej zapozna, temu się śmiać odechce. Winę ponosi tu w znacznej części teologia, która zagadnieniem upadku w grzech zanadto się zajmowała i za duże temu przypisywała znaczenie, wbrew Biblii, która o tym bardzo mało mówi.

Przesada w wyprowadzaniu grzechu od upadku **Adama i Ewy** jest zwalaniem winy na przodków i usprawiedliwianiem człowieka. Tak to także komentuje nowoczesny człowiek, mówiąc: **„Cóż ja temu winien, że Adam i Ewa zgrzeszyli?"** i czuje się w swoim sumieniu wytłumaczony. A przecież grzech jest czynem tego, kto go się dopuszcza, a nie wynikiem upadku w grzech **Adama i Ewy.** Ani prorocy Starego Testamentu nie odnosili grzechów ludu izraelskiego do upadku **Adama** ani **Jezus,** potępiając bezwzględnie grzech i litując się nad grzesznikiem nie motywował Swego postępowania upadkiem człowieka w raju, ani apostołowie nie wywodzili grzechu jedynie od grzechu pierwszych ludzi. W rzeczywistości przyczyna

grzechu leży w duchowej istocie człowieka, w jego woli. Duch jest istotą wolną, może słuchać i przestrzegać Bożego przykazania, ale nie musi.

Duch sam sobie jest wszystkim,
miejsca mu nie trzeba,
Sam sobie niebo z piekła
piekło robi z nieba.

Jest niewątpliwie prawdą, że grzech przechodzi z pokolenia w pokolenie od początków ludzkości i że w ten sposób powstaje powszechna moc grzechu, wskutek czego grzeszny stan człowieka jest rezultatem nie tylko jego własnych grzechów, ale także całej ludzkiej społeczności. Dlatego Biblia mówi zgoła na samym początku: „Myśl serca człowieczego zła jest od młodości jego". (1 Mojż. 8,21). Ale to nikogo nie usprawiedliwia, bo o czynach swoich decyduje zawsze sam człowiek. Co też wyraża Goszczyński, mówiąc:

W woli człowieka, w jego własnej woli
Leży począć rok Boży lub nieboży
Nie z Boga lata — chłosty i niedoli —
Człowiek je sobie własną winą tworzy.

4. **Nazwać grzech po imieniu.** Różnych ludzkość używała sposobów, różnych próbowała dróg do usunięcia zła spomiędzy ludzi, do podniesienia istoty człowieka i uszczęśliwienia ludzkości. Mniemano i głoszono, że człowieka podniesie i uszlachetni nauka, oświata, że zmieni go i przywróci mu godność, wolność, demokracja, że wyrwie go z upadku i upodlenia podniesienie warunków bytu, dobrobyt. Ale wszystkie te sposoby i próby polepszenia człowieka i uszczęśliwienia ludzkości okazały się niewystarczające i nie spełniły pokładanych w nich nadziei.

Grzech bowiem wszystkie najlepsze zamierzenia niweczy, wszystkie dobroczynne urządzenia psuje, wszystkie najpiękniejsze stosunki zatruwa, wszystko dobre umie zamienić w złe, wszystkich zbawiennych środków użyć do złych celów. Grzech użyje nauki i wiedzy do tym sprawniejszego wykonywania zła, wolność i swobodę zamieni w swawolę, dobrobyt wyzyska dla rozwiązłości obyczajów i najswawolniejszej rozpusty.

Dlatego największe grzechy dzieją się nie na nizinach ludzkiego społeczeństwa, lecz na wyżynach. Przykładem jest Rzym w czasach cesarstwa, przykładem arystokracja europejska w wieku Oświecenia. Tam powstają takie bezbożne twierdzenia, jak Hegla: „Człowiek musi jeść z drzewa wiadomości dobrego i złego, w przeciwnym razie nie jest człowiekiem, lecz zwierzęciem". Tam także powstaje najniebezpieczniejsza moralna zaraza: wyszydzanie i wyśmiewanie cnoty, uczciwości, czystości obyczajów, prawości, zacności — i pobożności.

Walka ze złem nie jest łatwa. Ażeby je wykorzenić w świecie, w ludzkości, trzeba je wykorzenić w człowieku. Nad tym pracuje ludzkość swoimi sposobami, tego dokonuje odradzająca moc Chrystusowej Ewangelii. Ale niewątpliwie jednym z najskuteczniejszych środków byłoby przywrócenie utraconej świadomości grzechu, nazwanie grzechu po imieniu, tj. grzechem czyli buntem przeciwko Bogu, przestąpieniem Jego świętej woli, przekroczeniem Jego odwiecznych praw ducha. Wyraz grzech jest najsilniejszym wyrażeniem przestępstwa, najwyraźniejszym potępieniem wszystkiego złego.

Tego wyrazu niczym się nie da zastąpić. On bowiem stawia człowieka wobec Boga, a Bóg jest i pozostanie najsilniejszym i największym autorytetem dla człowieka, nawet dla bezbożnego. Gdy dawniej powiedziano o czymś: To jest grzech, to każdy wiedział, co to jest, i to wystarczyło. Dziś albo się ten wyraz zastępuje innym, niewspółmiernym, albo się z grzechu żartuje i kpi. A owoce tego, niestety, bardzo gorzkie, zbiera człowiek i społeczeństwo.

Wyraz grzech człowieka obwinia, oskarża, sądzi. Wielkość, dostojność człowieka objawia się między innymi w świadomości grzechu. Przykładem tego jest **Dawid**, który, uznawszy grzech, rzekł: **„Zgrzeszyłem Panie"** i **modlił się: „Zmiłuj się nade mną Boże według miłosierdzia Twego, według wielkich litości Twoich zgładź nieprawości moje" (Ps. 51,3).** To poznanie i uznanie to są także szczyty człowieczeństwa. Dlatego skreślenie pojęcia grzech jest skreśleniem godności i dostojności człowieka.

Tylko stałemu prenumeratorowi
poczta przynosi «JEDNOTĘ» do domu

Jan Konar

D. E. JABŁOŃSKI (1660 – 1741)

(W 300 rocznicę urodzin)

Daniel Ernest Jabłoński, ostatni senior polskiej Jednoty braterskiej, był synem zięcia Jana Amosa Komeńskiego, Piotra Figulusa, którego zlatynizowane nazwisko ponownie posłowiańszczył. Urodził się przed 300 laty w okolicy Gdańska a do szkoły chodził w Lesznie, którego tradycje braterskie całym sercem ukochał. W tym właśnie czasie (1663) zostało w Lesznie wznowione słynne gimnazjum, do którego świetności przyczynił się niegdyś dziad Jabłońskiego.

Aczkolwiek Jabłoński większą część swego życia spędził poza Lesznem, nigdy nie przestał być troskliwym piastunem jego ducha i wiernym dziedzicem jego spuścizny. Na zawsze pozostał wiernym synem Jednoty, szczególnie kiedy w 39 roku życia został jej seniorem i biskupem. Już wielki jego dziad żegnał się w swym Testamencie z „umierającą" matką Jednotą, on zaś u schyłku swego życia (1735) jako ostatni biskup polskiej Jednoty ordynuje biskupa Dawida Nitschmanna a nawet samego Zinzendorfa, aby w ten sposób przekonać tradycję starej Jednoty Braci Czeskich nowej jej latorośli, wyrosłej w Herrnhucie.

Jako 23-letni młodzieniec zostaje ordynowany na duchownego i obejmuje urząd kaznodziei w Magdeburgu, ale już w 3 lata później widzimy go znowu w umiłowanym Lesznie na stanowisku dyrektora gimnazjum, które niedawno opuścił jako uczeń. Niedługo jednakże działał w Lesznie: w 1690 zostaje powołany na urząd kaznodziei do Królewca, a w 3 lata później do Berlina na stanowisko reformowanego kaznodziei dworu pruskiego. W 1718 zostaje mianowany radcą konsystorza, a w 1729 radcą naczelnej rady kościelnej.

Na wszystkich tych stanowiskach Jabłoński pomaga polskiej Jednocie w jej ciężkim losie. Po radosnych początkach reformacji w Polsce zwyciężyła wreszcie najczarniejsza reakcja jezuicka, która gotowała się zadać ostatni, śmiertelny cios wszystkiemu, co nie było rzymskie. Drogą dyplomatycznej interwencji udaje się Jabłońskiemu po dwakroć ocalić ewangelickie Leszno od ostatecznej zagłady. Jednoty bronił słowem i piórem do ostatnich chwil swego życia. Jako 71-letni starzec pisze i wydaje historię Zgody Sandomierskiej, a w ostatnich latach życia zbiera materiały do dziejów Jednoty. Śmierć, która nastąpiła 25 maja 1741 wytrąciła 81-letniemu starcowi pióro z ręki, nie pozwalając skończyć rozpoczętego dzieła, które na dobitek nieszczęścia zginęło gdzieś bez śladu.

Sytuacja Jednoty i jej seniora była istotnie tragiczna. Zanik Jednoty był nieunikniony; zbliżał się szybkim krokiem. Około 1700 było jeszcze 15 zborów braterskich, ale już w 1768, w którym dysydentom polskim została wreszcie udzielona swoboda wyznania, było już tylko 10 zborów z Lesznem na czele. Były to zbory polskie i niemieckie, wyznaniowo zaś w gruncie rzeczy reformowane, aczkolwiek w dalszym ciągu używały oznaczenia „Jednoty". Śpiewnik, używany w zborach niemieckich a wydany w 1760 w Lesznie, nosi znamienny tytuł: „Gesangbuch zum Gebrauch der reformierten Gemeine in Lissa und übrigen deutschen Gemeinen der Unität".

Może właśnie to sprawiło, że Jabłoński był całą duszą oddany idei zjednoczenia chrześcijaństwa, aczkolwiek jego ekumenizm płynął z głębi irrenicznego jego ducha, który odziedziczył po wielkim swym dziadku Komeńskim.

Za wyraźnym poparciem królewskim (Collegium caritativum w Berlinie 1703), a szczególnie dwóch koronowanych kobiet, córki i wnuczki nieszczęsnego czeskiego króla „zimowego" Fryderyka, królowej hanowerskiej i małżonki pierwszego króla pruskiego, Jabłoński całą duszą, choć bez jakiegokolwiek powodzenia, dąży do pokojowego współżycia katolików z ewangelikami. W dążeniach tych zyskuje wielu sprzymierzeńców, wśród których wymienić w pierwszym rzędzie należy wielkiego niemieckiego filozofa G. W. Leibniza.

Ze względu na cesarza Leopolda I, który pragnął zyskać ewangelików dla swej polityki przeciwko Turcji u Francji, papież przez dłuższy czas dawał wyraźnie do zrozumienia że jest gotów do daleko idących ustępstw w rzeczach wiary, które mogłyby doprowadzić wreszcie do upragnionego zjednoczenia Kościoła. Tego właśnie chwycił się Jabłoński i Leibniz. Zjednoczenie protestantyzmu z katolicyzmem wyobrażali sobie obaj tak, że za cenę uznania prymatu papieskiego ewangelicy będą mogli przebywać w jedności z Kościołem, zatrzymując swoje odrębności, jak kielich, małżeństwo księży, język narodowy w liturgii itp. W przekonaniu Jabłońskiego i Leibniza katolicyzm, protestantyzm i prawosławie to tylko trzy odmiany jednego, powszechnego, istotnie katolickiego Kościoła, które wobec tego mogą żyć w przykładnej zgodzie ze sobą, zachowując w dalszym ciągu swoje odrębności, swoje dogmaty, obrzędy i organizację, jak się to zresztą już raz stało w dziejach Kościoła na powszechnym soborze w Bazylei 1431 w stosunku do czeskich husytów. Największa trudność ich zdaniem polegała tylko na tym, że sobór trydencki właśnie te zasady ewangelickie najostrzej potępił. Chodziłoby więc o to, aby papież uchwały soboru

trydenckiego potępiające naukę ewangelicką zawiesił, podobnie jak to uczynił sobór bazylejski z zakazem kielicha.

Sobór w Konstancji (1414—1418) spalił na stosie Husa-kacerza i zdecydowanie potępił husycki kielich, który stał się widzialnym symbolem husyckiej rebelii przeciwko autokratycznej potędze Kościoła. Kiedy jednakże Kościół przekonał się, że orężem wypraw krzyżowych nie zmusi czeskich chłopów i brodatych księży taboryckich do posłuszeństwa, wszczął z nimi na soborze w Bazylei rozmowy jako równy z równymi. Wynikiem tych rozmów były tzw. kompaktaty, tj. złagodzone cztery praskie artykuły, domagające się swobodnego głoszenia Słowa Bożego i wysługiwania Wieczerzy św. pod dwiema postaciami. Kompaktatami Kościół w stosunku do Czechów suspendował niejako uchwały soboru konstancyjnego. Jak wiadomo, w Czechach przez blisko sto lat na zasadzie kompaktatów żyli ze sobą w zgodzie katolicy i husyccy kalikstyni.

I tę właśnie starą sprzed 300 lat historię przypomniał Leibniz, kto wie czy nie z podszeptu właśnie Jabłońskiego, biskupowi J. B. Bossuetowi, kaznodziei dworu francuskiego. Ale biskup Bossuet był nie tylko dobrym katolikiem, był on również niezłym znawcą historii i polityki swojego Kościoła. Uczony francuski biskup dowiódł niemieckiemu filozofowi czarno na białym, że ustępstwa Kościoła poczynione husytom wcale nie były szczere, że były tylko wyrazem chytrej dyplomacji i „świętej przebiegłości", zmierzającej do skłonienia Czechów do uległości. Kiedy Kościół cel swój osiągnął, papież Pius II w niespełna ćwierć wieku od chwili podpisania kompaktatów, nie zawahał się ani chwili unieważnić je jak świstek nic nieznaczącego papieru.

Rozumie się, że otwarta odpowiedź Bossueta musiała podziałać na Leibniza i jego sprzymierzeńca jak kubeł zimnej wody na rozpalone głowy. Przekonali się obaj wreszcie, że jakiekolwiek uczciwe porozumienie z Kościołem rzymskim jest niemożliwe. A aby pod tym względem nie mieli jakichkolwiek wątpliwości, zacny biskup pisał wyraźnie: „Zapewniam Pana, że my w tej sprawie (zjednoczenia) nigdy nie ustąpimy!".

W chwili, kiedy zapowiedź papieża Jana XXIII zwołania soboru powszechnego dla zbadania możliwości zjednoczenia Kościoła wywołała w sercach wielu czołowych przedstawicieli protestantyzmu żywe nadzieje, gorzkie doświadczenie niemieckiego filozofa i rozczarowanie polskiego seniora nabierają przedziwnej aktualności, a całkowite fiasko ekumenicznych poczynań Jabłońskiego nabiera dziś specjalnie gorzkiej wymowy, stając się jednocześnie przestrogą dla wielu naiwnych, że może Rzym wreszcie się zmienił. „My nigdy nie ustąpimy!". Już przed 300 laty okazało się, że nie ma mowy o jakimkolwiek pojednaniu katolicyzmu z protestantyzmem. Z drugiej jednakże strony w czasach ożywionego ekumenizmu Leibniz i Jabłoński przywodzą nam ewangelikom przed oczy przykład wielkiej tolerancji religijnej, jaka zrodziła się w ogniu husyckiej rewolucji.

Zwycięski pochód chrześcijaństwa

NARODZENIE Jezusa Chrystusa za panowania rzymskiego cesarza Augusta było zapowiedzią powstania nowej religii świata, chrześcijaństwa, a zesłanie Ducha świętego na apostołów stało się początkiem nowej społeczności wierzących, Kościoła chrześcijańskiego. Kościół przez szereg lat istniał zra tylko w Palestynie i w Azji Mniejszej. Do Europy chrześcijaństwo przedostaje się dzięki misyjnej działalności apostoła Pawła, który podczas drugiej podróży misyjnej proroczym snem w Troadzie (Homerycka Troja) zostaje zachęcony do wstąpienia na ląd Europy (Dz. 16,8—11).

* * *

Pierwszym miastem europejskim, w którym została zwiastowana Ewangelia Chrystusowa, było Filippis w Macedonii. Aczkolwiek była to chwila dziejowa a zarazem zwrotny punkt w dziejach Europy i całego świata, minęła ona dla świata zupełnie niepostrzeżenie. Jedyna kobieta, Lidia (Dz. 16,14—15) i dozorca więzienny Dz. 16,27—34) — toć pierwociny wielkiego dzieła chrystianizacji Europy.

Po Filippis nastąpił szereg innych miast, z których najbardziej godna pamięci jest Tesalonika, późniejsze Saloniki, z których w IX wieku wyszli apostołowie Moraw Konstanty i Metody. W niektórych miastach, jak np. w Koryncie, praca misyjna apostoła Pawła spotkała się z wyraźnym sukcesem, w innych natomiast, jak np. w Atenach, nie dała większego rezultatu.

Obok Apostoła Pawła i reszty apostołów Ewangelię Chrystusową zwiastowało szereg mężów, dziś nam już w wielu przypadkach z imienia nieznanych. Chrześcijaństwo niby lawina szerzyło się po całym imperium rzymskim, obejmującym cały ówczesny świat, leżący wokół Morza Śródziemnego. Szerzeniu się Ewangelii sprzyjała sieć doskonałych dróg rzymskich oraz język grecki, który w owym czasie był językiem międzynarodowym wykształconych ludzi. W niemałej mierze ułatwiała też szerzenie chrześcijaństwa rozległa żydowska diaspora; żydowskie synagogi, rozsiane po całej Europie, stawały się miejscem pierwszego zwiastowania Chrystusa. Atrakcyjność i wyraźnie rewolucyjna strona nowej religii zapewniły jej ostateczne zwycięstwo nad niezliczonymi

kultami i misteriami Wschodu, które niby fale potopu zalewały imperium rzymskie.

Kiedy apostoł Paweł dostał się jako więzień do Rzymu, istniał już w ówczesnej stolicy świata żywy zbór chrześcijański. Rzymianie, którzy byli niezwykle tolerancyjnie nastawieni wobec obcych kultów, a do swego Panteonu chętnie przyjmowali posągi obcych bogów, traktując ich niejednokrotnie jako środek do umocnienia swej władzy nad światem, zrazu nie rozróżniali chrześcijaństwa od religii żydowskiej, która z wielu innymi religiami Wschodu cieszyła się z przywileju religii dozwolonej (religio licita). Bezobrazowość kultu chrześcijańskiego, nieoddawanie boskiej czci cesarzowi przez chrześcijan, jako też niebranie udziału w gorszących zabawach pogańskich, rys tajemniczości (sacramentum — tajemnica!) Wieczerzy świętej, wywołujący najnieprawdopodobniejsze plotki o rytualnych zbrodniach chrześcijan (ciało i krew Pańska — chleb i wino), a w pierwszym rzędzie wspomniany już rys rewolucyjno-społeczny chrześcijaństwa, wcześnie wywołały nieprzychylne, ba, wręcz wrogie stanowisko Rzymian wobec nowej religii, która z niewielu innymi, szczególnie niemoralnymi kultami, została zaliczona do religii zakazanych.

Coraz większe szerzenie się „niebezpiecznego zabobonu" — jak nazywano chrześcijaństwo — wywołało wreszcie w r. 64 za czasów cesarza Nerona prześladowanie chrześcijan. Ruiny amfiteatru Colosseum w Rzymie po dziś dzień świadczą o smutnym losie tych, którzy dla wiary w Chrystusa ginęli na arenie cyrku w walce z dzikimi bestiami (por. Henryk Sienkiewicz: Qvo vadis).

Chrześcijanie w celu odwrócenia od siebie uwagi gromadzili się pod szyldem towarzystwa pogrzebowego w podziemiach Rzymu, w rozległej sieci podziemnych korytarzy, tzw. katakumb, w których nie brakło nawet obszer-

Adolf Nowaczyński

Laska pani jenerałowej

W CZERWCU BR. UPŁYNĘŁO STO LAT OD ZGONU GENERAŁOWEJ KATARZYNY SOWIŃSKIEJ, WDOWY PO BOHATERSKIM OBROŃCY WOLI Z 1831 R., GEN. JÓZEFIE SOWIŃSKIM. GENERAŁOWA SOWIŃSKA EWANGELICZKA REFORMOWANA, ZNANA BYŁA W DAWNEJ WARSZAWIE Z DOBROCZYNNOŚCI I PATRIOTYZMU. POCHOWANA ZOSTAŁA NA CMENTARZU EWANG.-REFORMOWANYM PRZY UL. ŻYTNIEJ W DNIU 8 CZERWCA 1860 ROKU, GDZIE TEŻ SPOCZYWA POD ZACHOWANĄ PO DZIŚ DZIEŃ KAMIENNĄ PŁYTĄ.

Chyba się pastor Pleszewski*) przejęzyczył. Kiedy za pierwszym razem powiedział „świętej pamięci pułkownikowej", ci i owi z zebranych nad rozkopaną mogiłą tylko powiedli po sobie zdumionym wzrokiem tak, jakby się przesłyszeli. Pastor Otto także wstrząsnął jakoś dziwnie głową i brwi zmarszczył. Tłum w pobliżu zafalował. Ale kiedy drugi raz jednak już wyraźnie usłyszano „śp. pułkownikowa", nagle jakby prąd magnetyczny przeszedł po otaczających i od razu z kilkunastu ust padło mocne: jenerałowa! jenerałowa! Pierwszy zdaje się jakiś wąsacz siwiuteńki z Aplikantki jeszcze. Niektórzy znów twierdzili, że to Staś Krzemiński z tych Krzemińskich z Żabiej. Inni że Laurysiewicz. Inni, że Jurgens. W każdym razie równo z tym pierwszym zaraz kilkanaście, potem kilkadziesiąt, potem kilkaset: jenerałowa! jenerałowa!

Że na cmentarzu to niezwyczajna rzecz, więc jednocześnie z boków uśmierzające: „cyt panowie! to cmentarz!" Wiedzieli przecież wszyscy, że policja piesza i konna otacza cały cmentarz, że szpiclostwa moc porozsypywanego, a w karecie przed bramą pono sam Trepow. Ale akademiki, co małą trumienkę ostatni przez cmentarz nieśli, przepłoszyć już sie nie dali, tylko zgodnym chórem: „jenerałowa! jenerałowa!"

Więc już pastor Pleszewski ustąpił i konkludował: „... Świętej pamięci jenerałowa Sowińska dożyła późnej starości, 85-tego roku życia, jaśniejąc ziomkom przykładem ofiarnego samarytańskiego żywota, niosąc pociechę biednym i utrapionym, służbie Bożej i bliźniemu całkowicie się poświęcając, na wieczną w narodzie pamięć i wdzięczność rzetelnie zasłużywszy..."

Teraz wszyscy odetchnęli z ulgą, jakby im kamień spadł z serca. Prawdzie stało się zadość. Dla Moskalów był tylko pułkownikiem w Konstantego armii, ale w powstaniu postąpił o rangę wyżej. Więc mu się liczy. Więc: jenerałowa.

Od tego to incydentu na cmentarzu ewangelickim, jak od iskierki w popiołach zapaliły się serca tych, co szli teraz w życie i nigdy, nigdy o tym, co najważniejsze nie zapominali. Od jedenastego czerwca roku 1860 jednym nieprzerwanym ciągiem aż do stycznia roku 1863 powtarzały się manifestacje, demonstracje i walka o wolność na nowo przez nową generację podjęta.

Zaczęło się od drobiazgów i błahostek, po których już i wszyscy wiedzieli i odczuwali, że coś się święci, coś świętego się święci, że w duszne posępnego więzienia powietrze coś świeżego przewiało, że coś nowego się kroi.

Młodzież, oczywiście, jak zawsze pierwsza. Wizyta i zjazd trzech monarchów w Warszawie? To Teatr Wielki na godzinę przed paradą zanieczyszczony. Tam znowu pęcherzyki z cuchnącą assafetydą rozrzucone. Na balu kostiumowym u hrabstwa Uruskich człowiek wymizerowany w łachmanach i kajdanach się pojawia. Szyldy rosyjskie znad sklepów w nocy zrywane. Tam znowu jakiś szpicel w garkuchni przez gości do krwi pobity. Idą przez Park Saski grupami medyki, to śpiewają jakieś znane, ale z dawna zapomniane pieśni i piosenki. „Jeszcze Polska nie zginęła" figuruje błędnie węglem na białych murach. Na koncercie w Redutowych nagle po Polonezie (wiadomo jakim Polonezie), cała publiczność wstaje. To znów na welinowym papierze zaprosiny na nabożeństwo u Świętego Krzyża za dusze „Adama, Juliusza i Zygmunta". W gazetach od niejakiego czasu jakieś dezyderaty, jakieś postulaty, jakieś aluzje, czego następstwem i cenzura „posrożona". A na Zamek raz po raz w karetach dygnitarze kacapskie jadą, by raporty prokonsulowi przedstawiać Michajłowi Dymitrowiczowi Gorczakowowi, po czym do Carskiego Sioła sztafety: „czto dielat'? czto dielat'?"

A wszystko to zaczęło się i jak lawina szło od tego wołania na cmentarzu w pogodny podwieczór czerwcowy: generałowa! generałowa!

Ważna zatem musiała być osoba, którą takie tłumy odprowadzały, że się na małym cmentarzu reformowanych nawet zmieścić nie mogły. I jakąś bardzo dobrą duszę musiała posiadać ta osoba, skoro w momencie sypania grudek na wieko, tyle zapłakało i to mężczyzn i kobiet, starych i młodych, siwych i blondynów, dodać trzeba, że i z róż-

norakich chrześcijańskich wyznań. I wciąż jedno powtarzano, że „tak nagle", „tak niespodziewanie", „tak niespodziewanie"! Byli bowiem tacy, co ją trzy dni temu jeszcze widzieli i jej się kłaniali, a byli tacy, co nawet tego samego dnia i na tejże samej ulicy, bo na Świętokrzyskiej. Nawet się przysięgali i słowo honoru dawali. Tylko jej w pierwszej chwili poznać nie mogli, bo choć w wyszarzałej mantylli była, ale bez laski! A że przez trzydzieści lat widywało ją całe miasto zawsze z laską, więc cóż się dziwić, że staruszki bez laski poznać nie mogli. Przecież wszyscy wiedzieli, co znaczy ta laska, od kogo jest i po kim. Więc dlaczego tego dnia wyszła bez laski jenerałowa? Jak mogła? Co ją skłoniło? Przecież to brak tej laski, z którą się nie rozstawała, wywołał potknięcie się na bruku i zgon przyśpieszył. Dlaczegoż tedy 9 czerwca nie wzięła laski, kiedy wybrała się z domu przy ulicy Królewskiej, numero 1062, aż tak daleko, bo gdzieś na Grzybów, czy na Nowolipki — do „klientki". Jak można w tak sędziwym wieku na tak daleki spacer w ogóle nie brać „fiacra", no a już w każdym razie laski, tej pamiątkowej laski, na której się opierała od lat trzydziestu?

W dniach żałoby dużo o tym mowy było w Warszawie.

Stwierdzono więc, że tego dnia fatalnego z rana żadna z pań opiekunek z Patronatu nie przyszła. A sprawa dla wdowy była bardzo pilna, nie cierpiąca zwłoki. Jakaś sybiraczka, świeżo „przywrócona" krajowi żołnierka powiła bliźniaków. Męża pogrzebała tam daleko i przywlokła się z pozwoleniem naczalstwa, oczywiście piechotą, gdzieś spod Uralu do swej Warszawy, by tu dwom pogrobowcom dać życie. No i w nędzy wyjątkowo wyjątkowej.

Wieczorem poprzedniego dnia zreferowała jenerałowej ten przypadek poczciwa pani Voss z Patronatu, współpracowniczka w samarytańskie od lat trzydziestu, to znaczy odkąd po nocy listopadowej zaraz krzątały się z założeniem takiego polskiego „Frauenvereinu" pani Wulfers z pania Grotthuss. One to skaptowały i zmówiły moc pań z miasta i z Polski do służby w lazaretach, do fabryki bandażów, do skubania szarpiów i na „szaretki". Jenerałowa była naczelniczką dam z opieki wojskowej, a pani Joanna Voss długie wieki jej nieodstępną sekretarką i towarzyszką w dobroczynnych wędrówkach po „klienteli".

Tego ranka czerwcowego spóźniła się i po nią nie przyszła, a pani Sowińska, niecierpliwa i prędka jak zawsze wybrała się sama.

Laski szukało się przedtem długo i bezcelownie po całym mieszkaniu. Szukała i kucharka, starszejsza wdowa po „młodszym sierżancie" z tych ocalonych tysiąca, co ich nieboszczyk miał przy sobie pamiętnego września na Woli. To całe mieszkanie nie było znów tak wielkie. Swego czasu mieszkało się paradnie w pałacu Paca, gdzie liczne apartamenta i luksusy, bo to jedynaczka posażna była, po starym Schroederze ładnie dziedziczyła i po śmierci pierwszego męża radcy Jonasa ameublement same empiry.

Po czym, kiedy kapitan komendantem Aplikantki mianowan, znów wspaniała amfilada apartamentów służbowych w szkole Aplikacyjnej. Ostatnio jednak, jako wdowa (przy rewenіach pomniejszonych znacznie) skromniej, bo to i zlicytowane Wierzbno Sowińskich, a drugi majątek Wyglądów, sama dobrodziejka dobrowolnie rozparcelowała, czyli jak się mawiało w on czas „rozczątkowała", mizernym czynszem się kontentując i z kwitkiem z chłopomańskiej transakcji wychodząc. Toteż co kilka lat trzeba było ścieśniać paska na kibici, przeprowadzkami się fatygować aż się z pałaców i z Paców na Leszno przeszło, a potem aż na trzeciaka przy Królewskiej. I tu przemieszkiwała pani jenerałowa najdłużej. I stąd ją odprowadzali do D.O.M.-u wieczystego. I z tego mieszkania zginęła ta laska po nieboszczyku, na której się on sam od dnia amputacji nogi pod Możajskiem (sześciofuntową działową gruchnięty) zawsze opierał.

W 5 dziesiątku lat XIX w. za Paskiewicza, gdy jeszcze pekuniarnie było jako tako, dom się na Lesznie prowadziło otwarty i bywała cała Warszawa, a może i Kongresówka cała. Poniedziałki u Łuszczewskich, soboty u Seweryny Pruszkowskiej, wtorki u pułkownikowstwa Paszkowskich, środy u Teresy Kickiej w pałacu Karasia, a czwartki u jenerałowej wdowy. Lubiła pani Katarzyna życie towarzyskie, ludzi come il faut i z rezonem, wojskowość, naukowość i literaturę przede wszystkim.

Jakżeż się wszędzie cieszono, gdy do salonu wchodziła oparta na historycznej lasce wdowa po bohaterze! Jak jej zaraz ustępowały miejsca środkowego na pontyfikalnej kanapie jenerałowe Mallet-Malletzka (de Granville) i Rautenstrauchowa, ta z palcami splamionymi atramentem od nałogowego pisania powieści. Byle o boleści swej najstraszliwszej, bo o nieznanej męża mogile i wspólnym może z nimi (Moskalami) pogrzebaniu zapomnieć, byle swemu osamotnieniu zaradzić, byle z ludźmi żywymi się stykać, jenerałowa pół dnia biednym po przytułkach i chorym po szpitalach, a pół dnia towarzyskiej społeczności oddawała, unikając z ostentacją jeno domów zbyt zapreferansowanych, gdzie i „faraon" modny odchodził, i stroniąc od mieszkań, gdzie dym z cygarów kurzonych i przez lwice salonowe niekiedy zatruwał atmosferę. Za lepszejszych czasów przez mieszkania pani Katarzyny na Lesznie przewinęła się cała współczesna polskość.

Kto tylko był wybitny, czy ongiś w bitwach, czy w piórze, w naukach czy podróżnictwie, przy fortepianie czy na violinie, ten zaraz

ZWYCIĘSKI POCHÓD (c.d.)

niejszych sal i kaplic. Prześladowania, które raz po raz wybuchają w różnych częściach imperium na przestrzeni blisko 250 lat, wywołują wręcz odwrotny skutek; do Chrystusa przyznają się coraz szersze warstwy, i to nie tylko już niewolnicy, jak to z reguły w początkach bywało, ale i przedstawiciele najwyższych warstw społecznych, nie wyłączając nawet wojska, patrycjatu i domu cesarskiego.

Bardziej z wyrachowania niż z przekonania cesarz Konstantyn wydaje wreszcie w r. 313 edykt mediolański, którym zaręcza chrześcijanom wolność wiary. Legenda głosi, że stało się to na skutek proroczego snu. Przed decydującą bitwą o Rzym z Maksencjuszem cesarz miał podobno we śnie widzieć na niebie świetlany krzyż i słyszeć przy tem słowa: In hoc signo vincis — w tym znaku zwyciężysz! Konstanty rozkazał umieścić znak krzyża i monogram Chrystusowy na sztandarach wojskowych. Zachęceni tym tajni chrześcijanie w szeregach wojska, walczyli tak dzielnie, że odnieśli walne zwycięstwo, a Konstanty zdecydował się dać chrześcijanom swobodę wyznawania swej religii, a niebawem uznał ją za jedyną religię państwową.

Faktem tym Konstanty zyskał sobie w dziejach Kościoła chrześcijańskiego przydomek Wielkiego, aczkolwiek motywy jego czynu, amoralne zasady, którymi się kierował w życiu i krwiożerczość jego rządów, w niczym nie ustępująca wyczynom takich ludzi jak Nero, Caligula i inni, tego przydomka nie usprawiedliwia. Sam fakt swobody posiadał niewątpliwie dla chrześcijaństwa wielkie znaczenie: był początkiem rozmachu pracy kościelnej i rozwoju Kościoła, który w spuściźnie po poganach przejmuje ich świątynie i majątki. Wewnętrznie jednakże fakt ten był początkiem upadku chrześcijaństwa i jego wewnętrznego rozkładu. Wraz z ochrzczonymi poganami, którzy przy-

stają do Kościoła z oportunizmu, do nauki kościelnej przedostaje się szereg pierwiastków wyraźnie pogańskich.

Zrażony zbrodniczym życiem swego wuja Konstantego, cesarz Julian Apostata woli być poczciwym poganinem, niż złym chrześcijaninem. Nie prześladuje on wprawdzie chrześcijan, ale wyraźnie sprzyja poganom a chrześcijanom przy każdej okazji psuje krew złośliwymi figlami. I tak nakazuje skrapiać artykuły pierwszej potrzeby, sprzedawane na rynkach miejskich, „święconą wodą" z pogańskich świątyń rzymskich. Dziś jednakże ta sama „woda święcona" jest uważana w Kościele rzymskim za symbol prawdziwego chrześcijaństwa. A „święcona woda" to jeszcze najmniejsze zło, które wykoślawiło naukę Chrystusa. Kult obrazów, świętych, relikwii, różaniec i nauka o czyśćcu i „dobrych" uczynkach w postaci jałmużny, postu i pielgrzymek, sakramentalizm, rytualizm z hierarchią kapłańską, to w gruncie rzeczy pierwiastki, które z religią Jezusa Chrystusa nie mają nic wspólnego. Już sam cesarz Konstantyn „Wielki" daje się ochrzcić dopiero na łożu śmierci, w przekonaniu, że sam chrzest jako magiczny środek obmyje wszystkie jego grzechy, których w jego życiu nie brakło.

Największym bodajże złem, które strasznie mści się na chrześcijaństwie po dzień dzisiejszy, było najściślejsze zespolenie Kościoła z państwem. Cezaropapizm Konstantego był tak wielki, że wtrącał się w wewnętrzne sprawy Kościoła, sam niejednokrotnie decydując o jego nauce, organizacji i życiu. On to zwołuje pierwszy sobór powszechny do Nicei w 325 r. Dopiero w naszych czasach następuje zmierzch Konstantyńskiej epoki Kościoła, który z dotychczasowej mocarstwowej i świeckiej pozycji wraca do właściwej swej roli sługi i pielgrzyma w drodze na górę Syjon.

meldował się i homagium składał. Z wizytówek piramidę wystawić by można. Kalwinisty z Kaliskiego wszyscy obligatoryjnie: Kurnatowscy, Karczewscy, Bronikowscy, Unrugi, Trepki. Sybiracy takoż obligatoryjnie, gdy tylko swoje odbyli, a nie na dożywotnią katorgę skazani.

Na recepcjach panie opiekunki w komplecie, a do tego bułeczki obłożone szynką, herbatka z kwiatkiem, suchareczki, w karnawale pączki od Clotina, ale w miarę. Z czasem i pączki skasowane i „czwartki" odwołane, kiedy trzeba było na Królewską się przenosić. Już tam nie żadne apartamenta w amfiladzie a jeno bawialka, jadalka, stancja na spanie, kuchenka.

Gratów i penatów też trzeba było posprzedawać sporo, bo by się nie zmieściły. Precjoza, broszki, fulary, kaszmirowe szale, tumakowe futro też poszły. W każdym razie jednak dużo zostało. Zostało prima fortepiano wiedeńskie, została paradna serwantka większego fasonu no i oczywiście wszystko, co po nim nietknięte, tak jak zostawił odjeżdżając na Wolę, wieczorem, 5 września, ubrany po formie, jeno nieco otylszy, bo mu ówczesnym obyczajem paku! pod mundur napakowała.

Fortepiano zostało, boć przecież jenerałowa codziennie o szarówce siadywała i grywała kawałki i kompozycje do słuchu, głównie, jak się to domyślić łatwo, tego którego ojciec był przecież w Aplikantce nauczycielem, a którego siostry zamężne też raz po raz do niej zachodziły.

Laskę pamiątkową kładło się jakby uroczyście na palisandrową klapę, a pani Katarzyna wpatrzona w nią, jakby zamagnetyzowana, egzekwowała „Mazourek" po „Mazourku", a po Nokturnie „Coujaviaki" i walce. Przy jej to akompaniamencie śpiewał tu kilka razy pan Komorowski („Rosła kalina"), a nawet sam pan Antoine Kątski nie zawahał się tylokrotnie, ilokrotnie Warszawę nawiedzał, wstępować w te skromne progi i grać pani Katarzynie w hołdzie, co tylko życzyła i co miał w repertuarze najudatniejszego.

Ocalała też i serwantka!

Któż nie znał, nie widział, nie podziwiał, nie unosił się nad tym skarbem, a raczej nad tym sanktuarium?

Czegóż tam bowiem nie było w tej generalskiej serwantce! Ileż to prezentów, ile pamiątek, ile souvenirów nie naznosiły w różnych latach poczciwe rodaczki, wdzięczne ziomki i ziemianki, a już panie z Opieki Wojskowej specjalnie! Jakież dziwa i dziwności i rzadkości i rarytasy! A to na górnej kondygnacji fajki antybki i skórzane woreczki na tabak. A to polski kancjonał z Królewca prześlicznie z gotycka oprawny, z klamrami. A to Biblia Wujka szwabachowym drukiem składana z jeszcze ślicznieszymi okładzinami. A to cynowe lichtarzyki, co na nachkastlu przy nim stały, umiłowane. A to kolorowy kosynier z saskiej z napisem „z renką na teblaku idzie do ataku".

Na środkowej półce dwie filiżanki cieniutkie, pozłociste, empirowe, z których ranną kawę pijali. Kobiałeczka misterna safianowa. Pod kloszykiem krzyżyczek. Bukszpanowa kasetka „a la Alhambra". Pulares i puginał. Sztylecik i kordelas. Pierścionek z krwawnikiem. Pierścionek żelazny. Fularek na szyję. Mitynki na rece własnoręcznej roboty gdy bywał zakatarzony i kichał. Szyllera „Poezjów" tomik, które lubili i deklamowali i on i Dabrowski i Pradzyński i Szembek i Fiszer i inni z tej samej koterii, z dawnego pruskiego wojska. Czego tam nie było!

Na najhonorowszym zaś miejscu, na środkowej półeczce serwantki leżały obok siebie trzy najwyższe odznaczenia, jeden jednolity front Cywilizacji contra Barbaria sygnifikujace.

Z lewej order pour le Merite jeszcze kiedy był kapitanem pruskiej artylerii konnej i bił się dzielnie pod „pruską" Iławą („Preussisch Eylau"). Wtedy to go poznała jako wdowa po radcy kameralnym Jonasie (geborene Schroeder) i pokochała od razu jak gdańszczanka von Beck Szembeka a von Rackel swego Dąbrowskiego.

Druga z prawej też na aksamitnej poduszeczce Honorowa Legia za strzaskany goleń pod Borodinem (Możajskiem). Niecały rok był wtedy w polskiej służbie, a już niebożątko „Longinus" na resztę życia skazany o kulach chodzić. Przyjaciel od serca Fiszer też ranny pod Borodinem. Dąbrowski drugi, najukochańszy w tejże kampanii w rękę ranny. A on bez nogi został. Cios to był dla niej straszny zobaczyć po raz pierwszy ukochanego kaleką, cios innym nie tak znów ciężkim się wydający, skoro zdrowi nigdy nie pojmą, o ile to im i składniej i łatwiej życie przeżyć mającym dwie nogi, dwie ręce, dwoje oczu! Bogu dzięki jednak, że tylko w nogę a nie w oko!

Trzeci order w serwantce to był nasz „Virtuti Militari", jakże w owe czasy rarytny!

Ten leżał w środku ugarnirowany generalskimi szlifami, akselbantami, „bulionami", na amarantowym, jedwabnym wezgłowiu, a dokoła śliczne z wosku różyczki i wianuszek laurowych liści z czarnych paciorków błyszczących.

Laski, z kościaną gałką laski, choć to także relikwia, w serwantce się nie chowało. Laska zawsze leżała na komodzie na kanwowej kapie pod skromnym na ścianie portrecikiem wojskowego pana urodziwego, co miał oczy czarne jak kruk, włosy siwiuteńkie jak gołąb, cerę rumianą jak chłopaczek dwunastolatek, no i bakenbardki, jakież przemiłe bakenbardki!

Ta laska z kościaną rączką była największym pani generałowej ukochaniem, a kto tam wie, czy nie wolałaby serwantkę z relikwiami skradzioną utracić, byle tę laszczynę po nieboszczku odzyskać! Jakaż to bowiem dziwna historia, jakież wspomnienie niezwyczajne związane było z taką sobie właściwie dość pospolitą laską! Przypomnijmyż:

To były straszliwe dni wrześniowe w 31-ym, lat temu trzydzieści, kiedy już znowu o n i ! otaczali Warszawę. Więc drugi raz trzeba było te wszystkie okropności przeżyć da capo al fine. I znów druga noc nadludzkiej udręki i męki.

Pierwsza ta noc z 29 listopada, kiedy trzeba było raptownie decydować za siebie i za innych. Nie zmrużyli oboje oczu ani na chwilę. On był wtedy komendantem Aplikacyjnej. Zwali go powszechnie papą, a panią Katarzynę mamą Aplikacji, choć dyscyplina zaostrzona, subordynacja surowa, akuratessa, twarde metody i ciężka ręka... Mawiano w mieście, że to całkiem na pruski manier idzie, szczególnie od dnia, kiedy kronprync pruski (tuż przed powstaniem) Szkołę wizyterował i nie mógł się nachwalić dość jej naczelnika. A papa Sowiński żadnych spiskowań w Aplikacji nie tolerował, bo sam był surowy rygorysta i dla siebie, żołnierz urodzony, a i z konstytucji kongresowej i z Konstantego a najbardziej z armii szczególnie kontent. Toteż i w udałość rewolucyjnych zamierzeń jako i wszyscy wyżsi wojskowi srejoźnie nie wierzył, a pamiętnej nocy listopadowej bramy szkół pozamykać kazał. Ale całą noc po kancelarii kulami i laską wściekle stukał, chodząc tam i z powrotem. Rankiem bramy otwierali, lud się wsypał a młódź się przyłączyła, przystąpiła i za Podchorążówką poszła. I on, choć nieufny, ale też poszedł. Potem patent mu na szefa sztabu artylerii przysłali i do roboty wciągnęli. Do liniowej służby się nie nadawał bo to i piąty krzyżyk i kalectwo nieprzyjemne, więc tylko do fortecznej zdatny.

Od razu wiedział, bo się na tym chyba najlepiej znał, że się wszystko nie na dobre klei, ale pary z ust nie puścił. Szefów jak się patrzy już nie było, Kicki „Ajaksem" znany pod ziemią, Dąbrowski i Fiszer już dawno w niebie. Przeczuwał więc Longinus finalne rezultaty, ale z point de reveries nigdy nigdzie się nie wyrwał. Drugi to już raz stolicy mu współbronić przyszło, bo przecież raz jako porucznik, jeszcze w osiemnastym stuleciu. Tedy bronił, sam się zaprosiwszy o najtrudniejsze, o hazard. Zaklinała żeby: nie, błagała, beształa, płakała.

Nic nie pomagało. Sam szedł naprzeciw zguby i sam naprzeciw chwały wiekuistej... jakby na przekór naumyślnie, z zawziętością, z uporem. Dwanaście dział dostał. 1200 ludzi mu przydali i najgorszą pozycję, jaką wyimaginować sobie można. Wszyscy jej to mówili, a panie z Opieki Wojskowej ostrzegały. Jak groch o ścianę. Faetonem sobie na tę Wolę pojechał, kule ze sobą wziął, szkaplerzyki dwa i laskę jedną. A ona znała tę Wolę aż po Rakowiec i po Ewangelicki cmentarz jak własną kieszeń. Za rogatkami szpital przez Gminę Reformowanych ufundowany pod jej był specjalną protekcją. Tam od grudnia w sanitarnej pracy od rana do nocy z doktorami Malczem i Dworzaczkiem. Teraz i ten szpital ewakuowali, bo na Wolę szedł szturm i piekielny ogień ze stu wielkich armat, aż trzeba było w mieście woskiem uszy zalepiać, żeby do cna nie ogłuchnąć lub nie zwariować.

I tak dwie noce całe na czekaniu wieści i wiadomości z Woli w martwocie, w grozie, aż i zęby szczękały. Zacna pani Joanna Voss dotrzymywała towarzystwa. Herbatkę tylko piły. Nic przełknąć nie byłoby można, chyba łzy, co im ciurkiem leciały po zbiedzonych policzkach.

Piątego września wieczorem pierwsza wieść, dobra. Jenerał Dembiński na inspekcję tam pojechał na trzecią linię okopów, już po forcie nr 57 straconym, ale wszystko zastał w porządku, ducha dobrego, więc i pochwalił i otuchy dodał. O ile przy huku piekielnym armatów słyszeć można było, to mu Józef Longinus Sowiński miał powiedzieć z couragem: „bądź jenerale spokojny, łatwo mnie nie wezmą!" No i dotrzymał słowa co do joty. Łatwo nie wzięli jenerała bez nogi.

Przyszła noc z szóstego na siódmy września. Pani Voss, zmorzona śmiertelnie, zdrzemnęła się w fotelu. Pani Katarzyna miotana niepokojami, nie mogła usiedzieć już naprzeciw niej. Ogłuszający do niedawna huk armatni szybko się zmniejszył. Nadchodziła jakaś złowroga cisza wprost nie do wytrzymania po tych trzydniowych grzmotach i kanonadzie. Zbiegła jenerałowa na dół po schodach, narzuciwszy tylko mantyllę, bez kapelusza.

Na ulicy gryzący, duszący dym od palącego się przedmieścia aż mdlił. Ludziska obłąkane, niedospane, blade, wymizerowane. Moc wozów, powozów, powód, landar i koczobryków pełnych tobołów, gratów, zabeczonych kumoszek i krwawiących żołnierzy. A wszystko to w jedną stronę ku Pradze, byle na most się dostać! Widocznie popłoch padł i uciekali.

Ze strzępów i odpadków bezładnych rozmów wnet już jenerałowa zwiedziała się o wszystkim. Krótkie, błyskawiczne ściśnięcie serca, ciemność w oczach, zawirowanie świata całego i już miała paść na bruk, ale się opamiętała i zmogła. Wojskowe Panie nie mogą się poddawać nawet takim ciosom w samo serce. Obowiązkiem wdowy po poległym by tylko go odszukać, przywieźć, własnymi rękoma ubrać w paradny mundur i...

ZWYCIĘSKI POCHÓD (c.d.)

Z w e w n ę t r z n e g o n i e b e z p i e c z e ń s t w a, zagrażającego Kościołowi, zdawali sobie sprawę niektórzy światli mężowie, tzw. ojcowie Kościoła, jak np. Augustyn Aureliusz (354—430). Ale nawet oni, ani sobory powszechne, zwoływane zrazu przez cesarzy, nie zdołali zaradzić złu. Chrześcijaństwo, nosząc w sobie zarodek zła, szerzy się jednak już za czasów Konstantego między pogańskimi narodami i przenika wzdłuż Dunaju i Renu w głąb Europy, a nawet do Hiszpanii, Francji i Anglii, nieraz właśnie dzięki temu, że przejmuje podobnie jak to robił niegdyś pogański Rzym, pogańskie pierwiastki, kulty i wierzenia.

W s z e r z e n i u c h r z e ś c i j a ń s t w a na tym terenie zasłużył się cały szereg gorliwych wyznawców Jezusa Chrystusa, którzy poznaną prawdę nieśli coraz dalej. Nawet wśród żołnierzy nie brakło ofiarnych chrześcijan, którzy miejscowej ludności opowiadali o Jezusie Chrystusie. Wymienić tu należy niejakiego Kandidusa, który około r. 300 poniósł śmierć męczeńską w St. Moritz. O szerzeniu się chrześcijaństwa w południowo-zachodniej Europie świadczy szereg różnych znalezisk, pochodzących z IV i V wieku, jak np. grób w Szwajcarii z czasów Konstantyna, sprzączka i relief w Burgundii itp.

W i e l k ą z a s ł u g ę w s z e r z e n i u c h r z e ś c i j a ń s t w a m a j ą k l a s z t o r y, które wraz z chrześcijaństwem przynoszą pogańskim narodom wyższy stopień kultury oraz sztukę pisma. Mnich Wulfilas, apostoł Wizygotów, tłumaczy Pismo św. na język Gotów (Codex argenteus), a irlandzki mnich Columban przemierza jako misjonarz wzdłuż i wszerz zachodnią Europę.

W ł a d c y i k s i ą ż ę t a nowo tworzących się państw chętnie przyjmują u siebie posłów Chrystusowych i zaprowadzają w swych królestwach chrześcijaństwo. Dzieje się to nieraz z przesłanek politycz-

nych bez głębszego zainteresowania samej ludności. W ramach chrystianizacji Europy umieścić należy apostolską działalność dwóch braci z Salonik, Konstantego i Metodego, którzy na życzenie księcia Wielkomorawskiego rozpoczęli w r. 863 apostolską czynność wśród Słowian. Dla nas zaś takim apostołem stała się księżniczka czeska Doubrawka, żona pierwszego historycznego księcia polskiego Mieszka I, która skłoniła swego męża do przyjęcia w r. 966 chrztu. Niemałą zasługę w schrystianizowaniu Polski posiada również czeski biskup Wojciech, pierwszy patron Polski, który w r. 997 poniósł śmierć męczeńską z rąk pogańskich Prusów.

W VII wieku powstaje niebezpieczny rywal chrześcijaństwa w postaci islamu, religii Mahometa i arabskich narodów. Szerzy się on z pomocą miecza fanatycznych wyznawców Allacha niebywale szybko; wkrótce obsadza nie tylko Arabię, ale i Palestynę, Syrię i północną Afrykę, zagrażając z dwóch stron chrześcijańskiej Europie, z zachodu poprzez Afrykę i Półwysep Pireneiski, wdzierając się do Francji, gdzie mu zadaje decydującą klęskę Karol Młot pod Tours i Poitiers (732), ze wschodu zaś po upadku Konstantynopola w r. 1453 opanowawszy cały Półwysep Bałkański, swymi zagonami sięga aż po Wiedeń, gdzie mu zadaje decydującą klęskę król polski Jan Sobieski (1683).

Ostatecznie w Europie zwyciężyło chrześcijaństwo, a właściwie zwyciężył Kościół. Rozszerzył on swą domenę między pogańskimi narodami, sam jednakże ulegając ich wpływom, i tak coraz bardziej oddalał się od prawd Pisma świętego, aż wreszcie poczęły odzywać się głosy, domagające się reformy w „głowie i członkach", zapowiadajac nadejście nowego okresu, okresu reformacji i nawrotu do pierwotnego apostolskiego chrześcijaństwa.

Dwa dni, dwa razy po dwanaście, po szesnaście godzin szło to szukanie, ta golgota szukania po pobojowisku. Aż się już sami Moskale zdumiewali i litowali. Pomagały jej nawet te grenadiery, które w tej walce brały udział trzy dni temu. Opowiadali przy tym spokojnie, obojętnie co i jak i kiedy to było. Musieli tak, przecież wojna, szturm! On pardon odrzucił, poddać się nie chciał. Kiedy dopadli do niego gromadą, pierwszy strzelił z karabinu, a potem bronił się bagnetem, a gdy mu wytrącili, kulami jął wymachiwać, za laskę porwał. Musieli.

Koło niego wszystkich wykłuli. Musieli na ostatku i jego zacząć żgać bagnetami, a gdy się jeszcze stawiał i wyzywał, posiekli, że już i poznać potem nie można było kto zacz i czy wyższy rangą, bo wszystko osobno... I nie ma co dalej jeszcze szukać po fosach, po bajorach ze krwi, po wilczych dołach, po rozkopaliskach w zaduchu, w błocie, w stertach trupów pod zwalonymi palisadami, płotami, murami i nie ma co końskie zewłoki podnosić i pod wozy włazić, bo go już na pewno zakopać musieli... Gdzie? gdzie? W jednym z tych wspólnych dołów po ogrodach, na sto sztuk wykopanych. A może za Ewangelickim Cmentarzem? A potem wapnem zaleją. Do tego przecież saperów odkomenderowano. Nie ma po co dalej szukać! Chyba się samej chce ducha wyzionąć?

Po dwóch dniach wróciła jenerałowa z tej Woli, z którą tak ją związało życie a potem i śmierć i wieczne odpocznięcie.

W mieszkaniu czekały zacne panie z Opieki, patronessy, „szaretki". Same wyglądały jak pół nieboszczki. Ona jak z krzyża zdjęta, jak widmo z oczyma nie już zapuchłymi od płaczu, ale wprost ociemniała. Pół zmartwiała, skostniała siedziała skulona w fotelu, w Jego fotelu z podnóżkiem, naprzeciw serwantki z relikwiami. Panie z Opieki stąpały cicho na palcach i raz po raz wąchały sól angielską z flakoników, żeby się trzymać, żeby sprostać...

A ona nic nie mogła przynieść z pobojowiska, ani nawet tej kuli, ani tej laski... Nic! nic...

I pogrzebany wspólnie z nimi! z nimi!

Trzeciego dnia coś zapukało od kuchennych schodów. Starsza wdowa po „młodszym sierżancie" otworzyła i przerażona w krzyk, jakby zobaczyła upiora albo topielca. Przed drzwiami stał sołdat, Kubaniec czy grenadier, kałmucka obrośnięta gęba, ale jakby dobrotliwie uśmiechnięta. I coś mamrotał wstydliwie. Był jednym z tych, co to jenerała bagnetami... Musiał. Ale mu żal się zrobiło. Laskę sobie dobrze zapamiętał z kościaną gałką. Widział, jak ta pani szukała i szukała. I sam zaczął szukać. I znalazł pod tą ścianą kościelną, w którą tyle kul się wryło, nic jej nie szkodząc. Adres się wywiedział i przynosi. Znaleźnego nie chce. A ot generalska laska...

I z tą laską już odtąd jenerałowa nie rozstawała się nigdy. Nawet, kiedy ją osadzili na... dwa lata w klasztornym karcerze za karę za „rozczątkowanie" chłopom Wyglądowa.

I tę to laskę jak i szarą, wyszarzałą mantyllę i jak jej posiedzicielkę, staruszkę malutką, drobniutką, ruchliwą, zawsze szybko drepczącą, znała cała Warszawa, starzy i młodzi, kobiety i dzieci, kanoniczki i pastorzy, zdrowi i chorzy, bogaci i biedni, przede wszystkim biedni. Ostatnio może widział tę laskę pan Kremer, pan Kremer Józef, uczony profesor z Krakowa.

Do Warszawy z wizytą przybyły, choć gościnnie przyjmowany, rozrywany, fetowany, czas znalazł, aby być z hołdem na Królewskiej i tam pani jenerałowej Sowińskiej z korna dedykacją doręczyć pierwszy tom swojej „Podróży do Włoch". O wojażu do tej Italii całe życie marzyła pani Katarzyna.

Ale chciałaby dusza do raju, jeno jej pieniędzy nie dają. Inne damy warszawskie jeździły i tam i do badów rokrocznie. Naszą wdowę po Bayardzie polskim stać było tylko na „mineralne kubki" w Saskim Parku z promenadą, bo tak się na bliźnich i na te bliźniaczki różne wyszastała z gotówki niepoprawna utracjuszka, samarytanka.

Toteż ta Kremerowska „Podróż do Włoch" to była ostatnia podróż staruszki w marzenie i jej ostatnia lektura. Pozostała na komodzie rozwarta książka z okularami rogowymi, a u pana profesora z Krakowa opowieść, jak to on jeszcze tę laskę widział i w rękach drżących ze wzruszenia trzymał i całował i na całe życie zapamiętał.

I ta oto laska na kilka dni czy nawet w sam dzień śmierci dziewiątego września **) roku Pańskiego 1860 z mieszkania przy ulicy Królewskiej numer 1062 gdzieś zniknęła. Zapodziała się, zginęła, sczezła jak kamień w wodzie. Szukaj wiatru w polu.

Że zasię przez brak tej laski osiemdziesięciopięcioletnia staruszeczka, biegnąc zadyszana do nowej „klientki", śmiertelnie się potknęła i na bruk upadła, więc wtedy wśród różnych supozycji i ta zrodzić się mogła, czy też to przypadkiem nie nieboszczyk jenerał tak się może zatęsknił za swoją towarzyszką, za świętą, że już bez niej nawet niebiańskiego żywota samotnie znieść nie mógł i...

A może inaczej? Może znów tedy czas nastał, aby zatliły się już w popiołach iskierki, aby rozpłomieniła o niepodległość nowa walka i młoda generacja swoją daninę krwi złożyła na ołtarzu ojczyzny i woli ku wolności skierowanej? I stąd zgon Generałowej przyśpieszon?

*) Omyłka autora; powinno być — Spleszyński.
**) Omyłka autora; powinno być — 9 czerwca.

Młoda „Jednota"

REFLEKSJE

Ostatnio coraz więcej pisze się i mówi o „Mędrcu z dżungli". Przeważnie są to słowa uznania i szacunku dla Alberta Schweitzera.

Nieco inaczej potraktował ten problem amerykański lekarz i publicysta, Frederick Franck, chociaż i on niczym nie umniejszył znaczenia działalności Dobrego Człowieka z Lambarene.

Autor przez długi czas przebywał w szpitalu Schweitzera i z bliska przyglądał się jego pracy i życiu. Uwagi oparte na tych obserwacjach, zamieścił w artykule, drukowanym w „New York Herald Tribune" w 85 rocznicę urodzin Schweitzera.*)

Czytającego tę urodziwą „laurkę" nawiedzają różne myśli i refleksje. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to niezwykła pracowitość Schweitzera. Mimo podeszłego wieku, na sen poświęca on zaledwie 6 godzin. Schemat zajęć dziennych uczonego wygląda mniej więcej następująco: wstaje o 6 rano, potem zajmuje się kolejno muzyką, pracą pisarską, szpitalem, pracą fizyczną, znowu szpitalem, a po kolacji powraca do swego biurka, aby o północy udać się na spoczynek.

Artykuł Francka jest lekturą pasjonującą. Gdy czytelnik przejęty jest podziwem dla genialnego tytana pracy, popada nagle w zdumienie i niedowierzanie. Frederick Franck niedwuznacznie wmawia czytelnikowi, że Schweitzer jest niepoprawnym, zdziecinniałym dziwakiem. Dodaje wprawdzie: „Bądźmy jednak wyrozumiali! Po przekroczeniu osiemdziesiątki ludzie są niezbyt skłonni do zmiany przyzwyczajeń i niechętnie modernizują to, co sami kiedyś stworzyli..." Niewątpliwie autor ma trochę racji, ale w tym uporze trzymania się za wszelką cenę „staroświecczyzny" tkwi też inny aspekt.

Prawdą jest, że zabudowania szpitalne są przestarzałe i niewygodne. W budynkach nie ma kanalizacji i prądu. Wszelkie projekty przebudowy i unowocześnienia szpitala napotykają na zaciekły i nieprzezwyciężony opór tego człowieka. Kiedyś, podczas nieobecności „szefa" zakupiono silnik i zainstalowano przewody, ale po jego powrocie z Europy trzeba było wszystko zlikwidować.

Albert Schweitzer całkowicie lekceważy nowoczesne odkrycia i osiągnięcia medycyny, opierając się tylko i wyłącznie na lekach staroświeckich, chociaż podległemu personelowi pozwolił na używanie najnowszych antybiotyków. Mimo że Lambarene leży w głębi dżungli i do 1957 roku nie było tam właściwie innego dojazdu, tylko drogą wodną, Schweitzer nie zezwolił na zakup łodzi motorowej, która by przyspieszyła i usprawniła komunikację. Przez 46 lat Schweitzer bezwzględnie zwalczał komunikację samochodową i mimo stałego wzrostu liczby chorych oraz dużej ilości przyjeżdżających turystów, nie zezwalał na budowę garaży. Nie udało się tego w końcu uniknąć.

---

*) Opracowane na podstawie tłumaczenia Marka Holzmana (M.P. Nr 5 z br.).

O. BARTEL

Reformacja w Polsce i jej wkład do naszej kultury

Pierwsze próby przedstawienia reformacji ukazały się już w wieku XVI, badania zaś nad nią zaczęły się dopiero w wieku XIX. Na temat reformacji w Polsce wiele już napisano, jeszcze więcej dyskutowano, ponieważ reformacja w Polsce stanowiła i stanowi nadal niezwykle ciekawy problem w historii reformacji powszechnej oraz kultury polskiej. Jako zjawisko historyczne, bardzo złożone, zainteresowała ona wielu badaczy zarówno polskich jak i obcych. Jakże różna jest jej ocena: oto dla polihistora wieku XVII Szymona Starowolskiego była reformacja jedynie epizodem w historii narodu polskiego, a przecież, jak wiemy, zachwiała ona psychiką polską. Dla St. Kutrzeby, znanego historyka ustroju dawnej Polski, okres reformacji miał być jakoby bezpłodnym dla kultury polskiej, a dla Józefa Szujskiego, wybitnego reprezentanta krakowskiej szkoły historycznej, zjawiskiem ujemnym. Dla jednych badaczy, jak Friese, radcy dworu Stanisława Augusta, jak Lubowicza, profesora Uniwer. Warszawskiego (XIX/XX w.) była reformacja polska tajemniczym i niesamowitym zjawiskiem, dla drugich — przyczyną upadku dawnej Polski (M. Dzieduszycki, Szujski), dla Waleriana Krasińskiego zaś klęska polskiej reformacji miała pociągnąć za sobą upadek dawnej Polski.

Co o tym sądzić?

Gdy oceniamy reformację polską z punktu widzenia historii kościoła chrześcijańskiego, to stanowi ona drobny wycinek i skromny moment. Jednak warto pamiętać, że w wieku XVI i XVII Polska była jednym z ognisk antytrynitaryzmu i anabaptyzmu — kierunków, które nawiązywały do tradycji kościoła starożytnego i radykalnych nurtów kościoła średniowiecznego.

W historii zaś powszechnego ruchu reformacyjnego, reformacja polska zajmuje wydatne miejsce: w powszechnym ruchu reformacyjnym brał udział Jan Łaski, na synodzie w Dortrecht, pocz. w. XVII, przy boku teologa holenderskiego Fr. Gomarusa, stał Jan Makowski i bronił zasadniczej nauki Jana Kalwina o predestynacji przed arminianami. W radykalnej ideologii reformacyjnej poważną rolę odegrł Faust Socyn. Z pochodzenia był Włochem, ale najściślej był związany z polską reformacją. Socyn był twórcą socynizmu, na gruncie którego wyrósł później antytrynitaryzm w Anglii oraz w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Reformacja polska budziła i nadal budzi zainteresowanie badaczy ze względu na Zgodę Sandomierską r. 1570. Trzy wyznania umiarkowanego obozu reformacyjnego: luteranie, kalwiniści oraz bracia czescy, połączyli się ze sobą, zachowując w sprawach wewnętrzno-kościelnych oraz nauce autonomię.

Podstawą ich zjednoczenia, współdziałania i wzajemnej obrony swoich zdobyczy był Konsens i Wyznanie Sandomierskie, gdzie nauka o Komunii Św. była zasadniczo oparta na konfesji saskiej Melanchtona (1551), złagodzona jednak w duchu kalwińskim. Łączący się protestanci zachowali swoje obrzędy, uznawali wzajemnie swoje nauki za prawdziwe, przyrzekali sobie poparcie w walce z przeciwnikami, a mianowicie z Franciszkiem Stancarem, który swoją koncepcją o Chrystusie-Pośredniku podważał przyjętą w kościele chrześcijańskim naukę o Chrystusie i Trójcy Św. — z antytrynitarzami oraz Kościołem rzymsko-katolickim. Zgoda Sandomierska była federacją protestancką — o celach politycznych.

Toteż w r. 1599 na zjeździe w Wilnie przystąpili do niej reprezentanci Kościoła Prawosławnego, aby znaleźć oparcie w walce z Unią Brzeską (1596), rozbijającą Kościół Prawosławny na ziemiach Rzeczypospolitej na unitów i dyzunitów. O zjednoczeniu całego świata protestanckiego na platformie tego co łączyło protestantów, a nie różniło, marzyło wielu reformatorów i wybitnych działaczy reformacyjnych wieku XVI. Pragnął tego Jan Kalwin.

Nieobca była myśl zjednoczenia rozbitego protestantyzmu Marcinowi Lutrowi, walczył o to Filip Melanchton, a Jan Łaski, gdy wrócił do

Polski, wytknął sobie jako główny cel swojej działalności powołanie do życia Polskiego Kościoła Ewangelickiego. Przygotował on grunt pod Zgodę Sandomierską; i właśnie na ziemi polskiej po raz pierwszy w dziejach powszechnego ruchu protestanckiego dokonało się wielkie dzieło zjednoczenia trzech odłamów protestanckich. Zgoda Sandomierska, to niezwykle ciekawy i doniosły fakt w historii irrenizmu, unionizmu i ekumenizmu chrześcijańskiego, któremu podwaliny dały kościoły protestanckie.

Co prawda ten ekumenizm Zgody Sandomierskiej był jeszcze ograniczony np. w porównaniu do koncepcji zjednoczenia **wszystkich** kościołów chrześcijańskich znakomitego Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Akt z r. 1570 znalazł naśladowców na ziemi czeskiej: w r. 1575, wzorując się na Zgodzie Sandomierskiej, połączyli się tam luteranie, kalwiniści oraz bracia czescy w oparciu o „Confessio Bohemica".

Wybitny działacz Kościoła ewangelicko-reformowanego na Litwie Andrzej Wolan, polityk i moralista, wskazywał na Zgodę Sandomierską jako na godny do naśladowania krok i starał się pogodzić luteran i kalwinistów litewskich.

W tym celu zwołany został w Wilnie w r. 1585 zjazd przedstawicieli obu kościołów, luterańskiego i kalwińskiego, jednak do pojednania nie doszło. Ciekawe, że polscy protestanci, w szczególności reformowani, próbowali przez książąt ewangelickich Rzeszy narzucić niemieckim protestantom ideę Zgody (1578). Na początku wieku XVII Senior małopolskiego Kościoła ewangelicko-reformowanego Bartłomiej Bythner, wydał dzieło pt. „Exhortatio Fraterna", w którym proponował zwołanie powszechnego soboru, a to w celu zjednoczenia wszystkich kościołów chrześcijańskich. Wiele synodów ewangelickich w Polsce po r. 1570 potwierdziło moc obowiązującą Zgody Sandomierskiej zarówno dla duchownych jak i wiernych, ostatnie jej stwierdzenie odbyło się na bardzo licznym synodzie w Toruniu w r. 1595. Od początku w. XVII Zgoda Sandomierska traci na sile i znaczeniu, ale przypominano ją sobie u nas w w. XVII, XVIII, w szczególności w dobie ciężkiej dla protestantyzmu polskiego: reakcji katolickiej epoki saskiej. Trzy lata po Zgodzie Sandomierskiej, w 1573 r. Konfederacja Warszawska zagwarantowała wolność wyznania.

Akt ten, który zapewniał pokój religijny inter dissidentes in religione wszedł do artykułów henrykowskich i stanowił składową część zawarowanych wolności szlacheckich. Konfederacja szła o wiele dalej w przyznawaniu wolności religijnej, aniżeli pokój religijny w Augsburgu (1555), aniżeli edykt nantejski (1598), może być uważana za wzór dla „Listu majestatycznego" z r. 1609 cesarza Rudolfa II.

Trzeba pamiętać, że Polska w. XVI i jeszcze ze Władysława IV była azylem dla prześladowanych Europejczyków za swoje przekonania religijne. Znajdowali w Polsce schron nie tylko prześladowani protestanci, lecz również i katolicy. Oto król Zygmunt Stary udzielał azylu Szwedom-katolikom.

W Polsce wieku XVI i później znamy znakomitych ludzi, którzy stali na gruncie tolerancji religijnej. Pochodzili oni z różnych warstw, reprezentowali różne wyznania, a ich przekonania tolerancyjne płynęły z różnych źródeł.

Zachowały się wypowiedzi niektórych znakomitych ludzi w. XVI na temat tolerancji religijnej. Król Zygmunt August: Nie jestem królem waszych sumień. Król Stefan Batory: Mniemam, że wiary nie wolno nigdy rozszerzać prześladowaniem i krwią, ani sumień ludzkich zniewalać gwałtem. Ksiądz Piotr Skarga, jezuita, miewał chwile, kiedy rozsądek i sumienie brały górę, wtedy mawiał: Złe odszczepieństwo, ale krew miła... Znakomity kanclerz Jan Zamojski: Kiedy to mogło być, abyście wszyscy byli papieżnikami, dałbym za to połowę zdrowia mojego, żebym drugą połową żyjąc, cieszył się z tej świętej jedności.

Ale jeśli kto będzie wam gwałt czynił, dam wszystko swe zdrowie przy was, abym na tę niewolę nie patrzył. Tolerantów spotykamy w w. XVII zarówno wśród szlachty katolickiej (Przyjemski, Kołaczkowski) jak i wśród luteran (Schober, burmistrz Torunia). Byłoby błędem, gdybyśmy z tego wywnioskowali, że wszyscy czy też większość Polaków w w. XVI czy XVII hołdowała zasadzie tolerancji re-

MŁODA JEDNOTA (c.d.)

Franck tak pisze o tym wydarzeniu: „Schweitzer asystował również przy budowie, mieszał beton. Prawdopodobnie nikt z nas nie potrafiłby tego zrobić lepiej od niego. Zapytałem go wtedy: — Na pewno nigdy nie myślał pan o tym, że będzie pan musiał budować garaże? — Schweitzer odpowiedział ze smutkiem w głosie: — Nie, nie myślałem. I z coraz większą nienawiścią obserwuję, jak zanika prostota naszego życia".

Ta ciekawa wypowiedź wiąże się z jeszcze jedną uwagą Fredericka Francka o Wielkim Doktorze. Pisze on: „Nie wierzę, by Schweitzer kiedykolwiek zabiegał o popularność. Sądzę, że jeśli decydował się występować w sprawach publicznych, to działał z dwu pobudek: litości i poczucia obowiązku. Każdy, kto przybywa do Lambarene i pragnie nakłonić Schweitzera do wystąpienia w jakiejś sprawie, może liczyć na sukces, jeśli odwoła się do tych właśnie uczuć".

Słowa Schweitzera i wypowiedź jego obserwatora, wiążą się ze sobą, uzupełniają się nawzajem i nasuwają na myśl szereg pytań i refleksji. Dlaczego nie ma teraz prawie wcale ludzi, działających z litości i poczucia obowiązku, to znaczy ludzi, którzy b e z i n t e r e s o w n i e potrafią zrobić coś dla innych? Do największych egoistów należą, niestety, chrześcijanie, których dewizą jest przecież miłość bliźniego. Czyżby rozwój techniki zagłuszał wszystkie ludzkie uczucia? A może rozwija się ona w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do duchowych wartości człowieka? Czy też może stale wzbogacany luksus codziennego życia tworzy atmosferę nieodpowiednią dla rozwoju wartości wewnętrznych?

Obserwując cofanie się podstawowych elementów tego wszystkiego, co określamy pojęciem miłości bliźniego, gotowi jesteśmy przyznać rację Mędrcowi z dżungli, że tylko prostota życia daje sprzyjające warunki do utrzymania należytej atmosfery w zbiorowisku ludzkim.

Dlatego wypowiedź Alberta Schweitzera trudno przyjąć jako głos dziwaka, spadkobiercy XIX-wiecznej ideologii, tym bardziej trudno, że w krajach zachodnich, gdzie luksus codziennego życia sięga szczytów, słyszy się coraz więcej głosów, przerażonych upadkiem wartości moralnych narodów.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę list wybitnego pisarza amerykańskiego — Johna Steinbecka, do kandydata na prezydenta USA, senatora Adlai Stevensona:

DROGI ADLAIU!

Wróciwszy z Camelot, nie zawsze sądzę, kiedy czytam gazety, że postąpiłem słusznie. Dwa pierwsze wrażenia. Przede wszystkim pełzający, przenikający wszystko znieczulający gaz niemoralności, który penetrację swoją rozpoczyna w żłobku i nie zatrzymuje się zanim nie dotrze do najwyższych biur, zarówno prywatnych spółek jak i rządu. Po drugie niepokój nerwowy, głód, pragnienie, tęsknota za czymś nieznanym — może za moralnością. Dalej występuje gwałt, brutalność i hipokryzja, symptomatyczne dla narodu posiadającego zbyt wiele. I wreszcie

MŁODA JEDNOTA (c.d.)

zgryźliwość objawiająca się u ludzi wówczas tylko, kiedy są przerażeni.

Czy pamiętasz Adlaiu, dwie odmiany uroczystości Bożego Narodzenia? W domu, w którym jest wszystkiego mało, prezent świadczy nie tylko o miłości, ale i o poświęceniu. Jedną, jedyną paczuszkę otwiera się wolno, z przedłużanym podziwem, czcią nieomal. Kiedyś na Boże Narodzenie dałem karłowatą papużkę memu najmłodszemu chłopcu, który uwielbia wszystko co żywe. Usunął on papier, cofnął się nieco wstydliwie i przez dłuższy czas oglądał małego ptaszka. Wreszcie powiedział szeptem: „Któż by pomyślał, ze będę miał kiedyś karłowatą papużkę?".

I jest druga odmiana świąt, ze zwalonymi na stos upominkami, od pełnych winy rodziców, którzy prezenty dają jak łapówkę, nie mając nic innego do ofiarowania. Zrywa się opakowania, odrzuca upominki i w końcu dziecko pyta: „Czy to już wszystko?".

Wydaje mi się, że Ameryka jest teraz podobna do świąt drugiego rodzaju. Mając zbyt wiele RZECZY spędzamy godziny na kanapie, poszukując duszy. Dziwny stanowimy gatunek. Wytrzymamy wszystko cokolwiek Bóg i Przyroda rzuci nam do nóg, byle tylko dużo... Gdybym chciał zniszczyć naród, dałbym mu zbyt wiele i kazał mu paść na kolana nieszczęsnemu, zachłannemu, słabemu...

Myślę o naszej „dochodzącej" w Somerset, tej, która podawała nam lunch. Sama zrobiła misia dla mego wnuka ze starego, kąpielowego ręcznika ufarbowanego na brązowo. Miś był piękny. Powiedziała: „Czasem, kiedy mam kawałek króliczego futerka udają mi się jeszcze lepiej". Oto p r e z e n t. I ten wyraźnie męski miś nazywać się będzie po wsze czasy — PANNA Hicks.

Kiedy wyjeżdżałem z Bruton wstąpiłem do „inspektora" Harrisa, samotnego policjanta, który nieuzbrojony, tylko na rowerze, utrzymywał spokój w pięciu wioskach. Był dla nas bardzo uprzejmy, ofiarowałem mu więc butelkę whisky Bourbon. Uznałem za konieczne powiedzieć przy tym: „To jest wyraz wdzięczności, inspektorze, i nie może pan tego absolutnie traktować jako łapówkę, ponieważ nie potrzeba mi niczego, a poza tym wyjeżdżam...". Zarumienił się i odpowiedział: „Dziękuję panu, ale to nie było potrzebne". Na co ja zauważyłem: „Gdyby było potrzebne, nie wziąłbym jej z sobą".

Martwi mnie głównie, Adlaiu, cyniczna niemoralność mojego kraju. Nie sądzę aby mógł on utrzymać się w tych warunkach i jeśli nie wstrząśnie nami jakaś katastrofa będziemy zgubieni. Tylko, że naszymi własnymi skłonnościami sami ściągamy na siebie katastrofę. Tego cośmy pokonali w przyrodzie, nie potrafimy zwalczyć w nas samych.

Ktoś musi przekontrolować nasz system i to prędko. Nie możemy się spodziewać wychowania naszych dzieci na dobrych i uczciwych ludzi, jeśli miasto, stan, rząd, spółki, wszyscy wyżej cenią przebiegłość i oszustwo niż uczciwość i prawdę. Na wszystkich szczeblach, Adlaiu, taka obowiązuje zasada. Być może, że nic już nie da się na to poradzić, ale ja jestem dostatecznie głupi i naiwnie pełen nadziei, że chcę spróbować. Co ty na to? John

ligijnej. Tak nie było, tak zresztą nigdzie wtedy nie było, ale w związku z reformacją narodziło się zagadnienie tolerancji religijnej oraz wolności sumienia, zarówno na Zachodzie, jak i w Polsce.

Niezwykle ciekawa była religijna i społeczna ideologia rycerza śląskiego Kaspra Szwenkfelda. Ujmował się on gorąco za chłopem i pisał: „...nikt nie chce się ująć za chłopem, żyją oni w zupełnym opuszczeniu, pod ciężką tyranią i okrutnymi prawami nieuków-proboszczów: stan ich godzien jest litości. Księża każą im jeść co piątek i w poście tylko jaja, ser lub masło, gdy oni nawet chleba nie mają... jesteśmy uciśnieni przez prawa jak Żydzi i nikt nie chce nam pospieszyć z pomocą..." Ta społeczna ideologia znajdzie później gorących zwolenników wśród kalwinistów oraz antytrynitarzy polskich.

Dla wyjaśnienia i zrozumienia zjawiska historycznego wskazana jest metoda porównawcza. Otóż w porównaniu do reformacji zachodnioeuropejskiej polska reformacja, podobnie jak i nasz renesans, była zjawiskiem wtórnym. Rozwijała się ona w związku ideowym z reformacją powszechną. Rozbicie np. ideologiczne obozu reformacyjnego na Zachodzie znalazło silne odbicie w sporach religijno-dogmatycznych polskiego obozu reformacji: nadgorliwcy luteranie (Gericius, Morgenstern i Luperian) zajadle zwalczali naukę braci czeskich i przeciwstawiali się uznaniu Zgody Sandomierskiej. Te wpływy ortodoksji luterańskiej płynące z Niemiec, Gdańska i Królewca powodowały skłócenia luteran z kalwinistami, jak to widać było szczególnie podczas rozmowy toruńskiej 1645 r. Bardzo silne były kontakty Jana Kalwina i jego szkockich wyznawców (w. XVII) z małopolskimi kalwinistami.

Reformatora Jana Kalwina zapraszano do Polski, a wielu przyszłych duchownych kalwińskich studiowało w Edynburgu. Mimo, że nasza reformacja miała wiele momentów stycznych i wspólnych z reformacją na Zachodzie, była ona zjawiskiem oryginalnym i swoistym: nie naśladowała ślepo reformacji zachodnioeuropejskiej, posiadała swoje odrębne cechy, ponieważ wyrosła na swoistym polskim gruncie, dowodem tego jest przede wszystkim jej niesamowity, zaskakujący każdego badacza przebieg. Wydała ona wielu ciekawych, myślących ludzi, pionierów na niektórych odcinkach naszej kultury. Cechuje ją zdumiewający wzrost, ale jeszcze szybszy upadek.

Gdzie przyczyna tego nigdzie na Zachodzie nie zaobserwowanego zjawiska? Wydaje mi się, że przyczyna tego tkwi głęboko w ruchliwej psychice narodu polskiego, jej cechą istotną to zrywy i ochłonięcia. Recepcja reformacji u nas nie była należycie przygotowana pod względem religijno-kulturalnym: nie mieliśmy silnego sekciarstwa, stwierdzamy brak mistycyzmu a religia sprowadzała się do obrzędowości, której prosty lud nie rozumiał, gdyż nie znał łaciny. Jednak reformacja nie zanikła, jej myśli i dzieło w skromnej formie przetrwało do epoki stanisławowskiej.

W swoim polskim nurcie była ona i jest nadal moralnym oparciem dla wielu działaczy polskiego ewangelicyzmu (ks. Diehl, ks. Leopold Otto, ks. biskup Bursche i inni). Różna była ocena polskiej reformacji ze strony badaczy, różne było do niej podejście, różna metoda badań. Lecz każda metoda badań musi być stosowana ostrożnie i z umiarem. Oto przykład niekiedy fałszywego wnioskowania.

Wedle zapatrywań niektórych historyków radykalna ideologia religijno-dogmatyczna w reformacji zachodnioeuropejskiej była wyrazem dążeń do wyzwolenia plebeuszy miejskich i chłopów z ucisku feudalnego, ale w Polsce — co ciekawe — ten radykalizm religijno-społeczny reprezentuje u nas szlachta i to znakomita: Jan Niemojewski, Stanisław Cikowski, Jan Kiszka, jeden z najbogatszych ludzi końca w. XVI, u schyłku zaś życia również taki magnat jak ks. Mikołaj Radziwiłł Czarny.

W polskim ruchu reformacyjnym często z radykalizmem dogmatycznym wiązał się radykalizm społeczny, ale kiedy polscy anabaptyści probowali nawiązać bliższe stosunki oraz współpracę, a nawet później myśleli o połączeniu się z „komunistami" morawskimi, to ci ostatni nie chcieli o tym słyszeć, ponieważ oni uznawali dogmat Trójcy św. a polskim anabaptystom zaś nie odpowiadał praktykowany „komunizm" anabaptystów morawskich.

W wielu krajach zachodniej Europy reformacja była na ogół zjawiskiem masowym, objęła wszystkie klasy społeczne, w Polsce zaś znalazła ona zwolenników wśród mieszczaństwa i szlachty, a prawie nie poruszyła ludu. Tam gdzie zdobyła sobie lud jak np. w Cieszyńskiem idea reformacji zwyciężyła i przetrwała po dzień dzisiejszy. Ta wąska platforma społeczna reformacji tłumaczy nam jej klęski.

Reformacja nie miała u nas silnego i trwałego oparcia w masach ludowych. Na Zachodzie oparła się przede wszystkim na mieszczaństwie, wykształconym, zamożnym, ambitnym i zwyciężyła. U nas zaś położenie mieszczaństwa było inne niż na Zachodzie. Od schyłku wieku XV mieszczaństwo zaczyna u nas upadać i jego rola polityczna staje się znikoma. Tylko tam, gdzie ono odgrywało jeszcze rolę, jak np. w Gdańsku, Elblągu, Toruniu — reformacja przyjęła się szybko i zwyciężyła.

D. c. n.

Świat w r. 1909

NOWA KATEDRA NA UNIW. LWOWSKIM. Jan Kasprowicz, utalentowany i zasłużony poeta, powołany został na profesora nadzwyczajnego literatur porównawczych na uniwersytecie lwowskim. Katedry tej dotychczas nie było na uniwersytecie lwowskim i, rzec można — że tym razem niezwykły kandydat powstanie jej wywołał.

Do objęcia tej katedry Kasprowicz przystępuje z całym bogatym zasobem: przyswoił on literaturze polskiej w doskonałym mocnym przekładzie cały szereg poezji obcych poetów, począwszy od Sofoklesa, skończywszy na wielkim wyborze poetów angielskich.

EWANGELICY REFORMOWANI W KRÓLESTWIE POLSKIM. W ubiegłą niedzielę odbył się w Warszawie doroczny zjazd synodalny kościoła ewangelicko-reformowanego w Królestwie Polskim, połączony z uroczystą instalacją nowo wybranego superintendenta krajowego, pastora Fryderyka Jelena.

Obchód ten święcono z tym większą okazałością, że równocześnie przypadła 400-letnia rocznica urodzin Jana Kalwina. W synodzie wzięli udział delegaci nie tylko z Królestwa, ale i z Litwy i Rusi.

(„Jednota" r. 1934)

ZGON Ś.P. PROF. JANA KVACALI. W dniu 9 czerwca br. zmarł nagle w Bratysławie ś.p. Jan Kacala dr teologii i filozofii, profesor Wydziału Teologii tamże. Ś.p. dr Kvacala był od r. 1891 do 1917 profesorem na katedrze historii kościoła wszechnicy Dorpackiej. Zmarły profesor był w Dorpacie dla studentów ewangelików-Polaków szczerym i serdecznym przyjacielem, a często i opiekunem. Liczył lat 72, przed paru laty bawił w Warszawie, zaproszony przez Wydział Teologii Ewangelickiej i w Auli Uniwersytetu wygłosił dwa wykłady. Przed kilku zaledwie tygodniami tenże fakultet uczcił prof. Kvacalę godnością honorowego doktora teologii.

ŻEROMSKI A KATOLICYZM. W kwartalniku „Verbum" zamieścił dr K. Górski artykuł pt. „Żeromski a katolicyzm", w którym pisze tak: „...ze wszystkich dróg, na których ludzie poszukują Boga, najbliżej znalazł się Żeromski katolicyzmu". Tu myli się autor. Żeromski czuł się w duszy protestantem, czemu dał wyraz przez przejście na łono Kościoła Ewangelicko-Reformowanego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO. Docent Wydziału Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego — ks. dr Karol Wolfram, ogłosił drukiem drugą swą pracę pt. „Kazanie na górze". Jest to pracowicie opracowana egzegeza 5 rozdziału Ewangelii według Mateusza. Książka wyszła nakładem autora, skład główny: księgarnia V. Mietke, Warszawa, Wspólna 10, cena zł 3.

Drukowana w „Jednocie" praca ks. E. Jelinka o Kalwinie pt. „Sylwetka Kalwina na tle Reformacji" wydana została w formie książki i jest do nabycia w kancelarii Zboru Ew. Reformowanego w Warszawie i w Redakcji „Jednoty".

WYZNANIA W PRELIMINARZU BUDŻETOWYM RZ. P. Budżet Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na rok 1935/36 zawiera 17 484 499 zł jako sumę za uposażenie duchowieństwa katolickiego, 383 413 zł na emerytury, 750 000 zł na wydatki rzeczowe oraz 1 000 000 zł na fundusz budowlany. Dotacje na wyznania ewangelickie wynoszą tylko 173 840 zł, na wyznanie prawosławne 1 360 000 zł, na wyznanie mahometańskie 56 950 zł, na wyznanie mojżeszowe 182 760 zł.

MŁODA JEDNOTA (c.d.)

CZY TYLKO GAŁĄZKA BZU?

Cały świat jest zainteresowany osiągnięciami techniki. Fantastyczny rozwój elektroniki, techniki rakietowej i astronautyki pasjonuje wszystkich ludzi. Coraz częściej mózg człowieka zastępują maszyny elektronowe, a ręce — roboty, wykonujące nawet bardzo precyzyjne prace. Nowoczesna technika wkracza również coraz śmielej do kościołów.

Największego i zarazem najszybszego skoku w rozwoju nowoczesnej myśli technicznej dokonały narody Związku Radzieckiego. Może właśnie dlatego tam doszło do zaciętego sporu o... gałązkę bzu.

Wszystko zaczęło się od nieporozumienia małżeńskiego. Mąż, młody inżynier, bez reszty oddany nowoczesnej technice, często wyrzucał żonie jej zainteresowanie sztuką, literaturą, teatrem i muzyką, co — jego zdaniem — niepotrzebnie zaprząta myśli człowieka i nakłada na niego balast, odrywający go jednocześnie od twórczości technicznej, która może tylko sama stworzyć ludzkości świetną przyszłość.

Żona, zadraśnięta w ambicjach, napisała list do redakcji jednego z dzienników moskiewskich. List ukazał się na łamach pisma i wywołał gorącą dyskusję. Jak żywy był oddźwięk tego sporu, niech świadczy fakt, że wzięło w nim udział kilka tysięcy osób, w tym wiele wybitnych osobistości świata kulturalnego i naukowego ZSRR.

Najbardziej znamiennym głosem, który padł w dyskusji, była wypowiedź znakomitego pisarza radzieckiego, Ilji Erenburga. Nie kwestionując rangi i znaczenia techniki w życiu człowieka, domagał się on uznania także dla wszystkich wytworów ducha ludzkiego. Słusznie stwierdził, że ludzkość bez serca i uczuć, zdana jedynie na mózg, byłaby ograbiona ze wszystkiego, co piękne, miłe, radosne.

Ilja Erenburg rzucił myśl, aby pierwsza rakieta, która poleci na odległe planety, oprócz skomplikowanej aparatury pokładowej, zabrała także gałązkę bzu. Rakieta, przemierzając niezbadane obszary kosmosu, stanie się wtedy symbolem nie tylko myśli Ziemian, ale także ich wartości humanistycznych.

Głos Erenburga jeszcze bardziej podniecił dyskutujących. Do pisarza napłynęło kilka tysięcy listów. Zorganizowano dwa spotkania z czytelnikami, podczas których Ilja Erenburg przez kilka godzin odpowiadał na bardzo liczne pytania słuchaczy i gorąco polemizował ze zwolennikami „tylko mózgu".

Spór trwa nadal. Wielu jest bowiem nieprzejednanych przeciwników sztuki, literatury, teatru, czy muzyki, a zwolenników czystej myśli technicznej, nie zaprzątniętej balastem nauk humanistycznych i odwrotnie.

Dyskusja ta wyniosła gałązkę bzu do stopnia symbolu tego wszystkiego, co może nawet niezbyt mądre, ale bezsprzecznie piękne, wzniosłe, szlachetne.

Obserwatorowi polemiki nasuwa się pytanie: czy aparatura rakiety — symbol myśli ludzkiej i gałązka bzu — symbol uczuć i serca, to wszystko?

dokończenie na str. 166

O. Erbes-Stahl

Wierność Boga... Wierność ludzi...

Bądź wierny!
Apok. 2, 10.

Oto przykazanie najbardziej zasadnicze, którego nie ma potrzeby roztrząsać i analizować, jest ono jasne i wyraźne. Wszelako, co o tym mówi nam historia religii ludzkości? — Przez cały ciąg Biblii, czytamy opowieści o nieodmiennej niewierności ludu wobec Boga. Z powodu odrzucenia Boga przez człowieka każda strona Biblii przypomina nam, że wierność Boga odpowiada naszej niewierności i bezustannie wzywa nas do wierności-odnowionej, żywej i płodnej. Ten jeden tylko fakt częstej i jakże obfitej niewierności ludzkiej jest dowodem, że posłuszeństwo wobec tego przykazania nie jest łatwe. Wiemy dobrze, że każdemu nakazowi sprzeciwia się nasza wola, nasza zła wola.

Niektóre nakazy posiadają wyraźną treść, jasno wypowiedzianą za pomocą zakazu lub wyraźnego polecenia.

Tymczasem obowiązek, który jest nam polecony poprzez całą Ewangelię, nie posiada wyraźnie zarysowanych konturów, podobnie jak obowiązek szacunku dla życia czy dla starości.

Być wiernym-pojęcie to zawiera osobistą relację. Wierny komu lub czemu? Ten właśnie związek objaśni nam treść naszej wierności.

Wierny komu? Dla chrześcijanina istnieje tylko wierność jego Panu, Jezusowi Chrystusowi, i przez Niego wierność Bogu, Który pierwszy był wierny.

Przeważnie zadowalamy się wiernością dość niewyraźną, która rzadko pochłania nas całkowicie. Jakże nasza wierność jest ograniczona, śmieszna! Chcemy być wierni do pewnego stopnia, który nas nie krępuje. I żeby od nas nie żądano więcej: przyszłość tak często przeszkadza. Przynależność do Kościoła chrześcijańskiego, wierność swemu kultowi wydaje się nam wystarczająca. Nie dość uświadamiamy sobie, że wierność jest osobistym zobowiązaniem, które dla każdego z nas nabiera pełnego znaczenia. To właśnie na istotę, którą jestem, która żyje w określonych warunkach, nałożony jest obowiązek osobistej wierności.

Obiekt naszej wierności może się zmieniać, według naszych osobistych tendencji. Od człowieka swawolnego, samowolnego Bóg — być może — zażąda, by dowiódł swej wierności, poddając się warunkom życia, których nie może zmienić lub dla miłości poddając się istocie słabszej. Przeciwnie, naturze łatwej, uległej wyznaczy los, który zobowiązuje ją do potwierdzenia, do przyjęcia odpowiedzialności, do wypłynięcia na szerokie wody, gdy wszystko będzie ją skłaniało do pozostania na brzegu i schronienia się przed niebezpieczeństwem. Lecz wierność ćwiczy się wyłącznie w przeciwnościach, na jakie napotyka nasza natura, może być praktykowana przez dobrowolny, niewymuszony rozwój naszych wrodzonych talentów. Bóg pozwala duszy dojść do celu przez całkowity rozwój sił, który w niej złożył, jak kwiatu otwierającemu się do słońca; bez przymusu, wyłącznie na skutek sił witalnych!

Wierność wyraża się również w odporności duszy wobec zawodów i ciężkich ciosów, które przynoszą jej wydarzenia życia. Niedowierzanie Bogu, uważanie się opuszczonym przez Niego, gdy nie wszystko dzieje się według naszego upodobania, jest właściwie niewiernością. Bóg nie jest wyłącznie Ojcem dobrych dni, powodzenia, lecz również Tym, Który towarzyszy nam w czasie dni złych i daje sens naszym przeżyciom.

Dla różnych sytuacji i charakterów różne jest wyrażenie wierności. Wierność jest im podyktowana przez Boży ład. Wierność nie znajduje się na wygodnej, wytyczonej drodze, nie dochodzi się do niej łatwo, bez wyboru i wewnętrznych dociekań. Dlatego też apostolskie przykazanie wierności możemy uświadomić sobie. wyłącznie zatapiając się w modlitwie, która stawia nas oko w oko z wolą Boga. Czyż nie braliśmy często, na przykład, wierności samym sobie za wierność Jezusowi Chrystusowi? Jakaż to potężna maksyma: być wiernym samemu sobie! Lecz ile w niej kryje się egoizmu, ile pychy! Jako „wierność samemu sobie" często widzimy: „dochodzenie do celu z krzywdą innych", „życie własnym życiem, bez troski o otoczenie, o bliskich". Być swoim własnym celem, własną racją istnienia — to znaczy uważać się wkrótce za główny punkt wszechświata, podobnie jak niektórzy wybitnie uzdolnieni młodzieńcy, którzy uzależniają przyszłość ludzkości od swych osobistych sukcesów!

Tak, samemu sobie być wiernym, znaczy to zastąpić własnymi swymi życzeniami, osobistymi fantazjami to, czego Bóg od nas oczekuje, wołanie, które do nas zwraca. Ewangelia wyjaśnia nam nastawienie naszej wierności słowami Jezusa, Który powiedział, iż ten, który jest wierny w małych rzeczach, będzie nim również w rzeczach wielkich. Ćwiczenie zaś w wierności jest następujące: gdy nie odmawia się Bogu ani bliźniemu małej przysługi, gdy przysposabia się, by przysługę tę uczynić jak największą. Istnieje obfitość wierności, która rodzi nowe porywy i nowe związki.

Wierność nie powinna nam wydawać się ciążącym łańcuchem, który w nielitościwy sposób przykuwa nas do panującego, zaprzedając nas w niewolę. Jest ona nie łańcuchem, lecz uwolnieniem od wszystkich pętli, które trzymają nas w niewoli zgubnych naszych przyzwyczajeń,

naszych egoistycznych skłonności, względów osobistych, naszych ambicjonalnych żądz.

W ten sposób — powoli — wierność tka wątek naszej prawdziwej, duchowej niezależności, która pozostaje wyłącznie zależnością od Boga, pod Jego spojrzeniem.

Czy doprowadzimy do obcinania nici naszego krótkiego ludzkiego żywota? A gdy żywot ten dobiegnie końca, czyż nie rzucimy spojrzenia zawiedzionego, zasmuconego na tyle skaz i nieprawidłowości tego wątku, utkanego w dobie naszego życia? Ileż to razy zrywaliśmy nić wierności, przez przelotną niewierność, która jednak pozostawiła skazę na dziele naszego ziemskiego życia! A gdy myślimy o Tym, Który oceni naszą pracę i nasze błędy, czy nie czujemy, jak serce nas oskarża?

Jakiż ciężar będzie nas przytłaczać, jeśli pozostaniemy pod tym oskarżeniem! Lecz oko w oko z tymi wszystkimi brakami, czyż nie ma uspokajającej pewności, która zapewnia nas, że choć serce nas oskarża, Bóg jest większy od naszego serca i że Jego łaska jest większa od wszystkich naszych niewierności?

Bądź pochwalony, o Panie, Którego wierność sięga pod chmury!

Tłum. H. Paszko

Toyohiko Kagawa nie żyje*)

Toyohiko Kagawa

Znany w całym świecie chrześcijańskim japoński kaznodzieja, ewangelista i działacz społeczny Toyohiko Kagawa zmarł 23 kwietnia br. po długiej chorobie, przeżywszy lat 72. Zgon ten stanowi wielką stratę nie tylko dla japońskiego chrześcijaństwa, które zubożało o jednego z najznakomitszych swych przedstawicieli, lecz także dla ruchu ekumenicznego na całym świecie, który go cenił przede wszystkim jako chrześcijanina czynu.

Urodził się w Kobe (Japonia) w arystokratycznych warunkach. W dzieciństwie osierocony doznał wiele ciepła i miłości ze strony misjonarzy chrześcijańskich, co już w 15 roku życia, nie bacząc na wydziedziczenie, kazało mu zostać ewangelikiem. Odtąd całe swoje życie poświęcił wielkiemu celowi: przybliżeniu ewangelii do narodu japońskiego. Drugim celem, nieodłącznym od tamtego, była nieustanna walka o zasadniczą poprawę warunków życia dla biednych i uciskanych. Wiele lat w roli „Św. Franciszka wielkiego miasta" w brudnych i zaniedbanych slumsach wielu miast japońskich pracował nad poprawą doli nieszczęsnych.

Jako teolog ewangelicki i socjalistyczny polityk wywarł ogromny wpływ na warunki socjalne swojej ojczyzny. Światowe chrześcijaństwo zaś widziało w nim wzór praktycznego naśladownictwa Chrystusa Pana. W Ameryce studiował socjologię, a następnie został duchownym prezbyteriańskim. Wkrótce dał się poznać jako osobistość na miarę światową, wyrosłą ponad wszelkie szranki konfesyjne. Kagawa stał się własnością całego chrześcijaństwa i całej ludzkości.

Był założycielem i kierownikiem wielu urządzeń społecznych, związków zawodowych, spółdzielni, zakładów leczniczych i ośrodków wychowania młodzieży. Krąg pomocników w tej szeroko rozgałęzionej pracy zwał się „przyjaciółmi Jezusa" i składał się z członków różnych Kościołów. Był postacią na wskroś ekumeniczną. Wszelka ciasnota wyznaniowa była mu obca. Jako pisarz stał się pionierem chrześcijańskiego socjalizmu, którego wspaniałym przykładem było jego własne życie.

*) W jednym z najbliższych numerów „Jedności" umieścimy obszerny artykuł, omawiający religijną i społeczną działalność Kagawy.

dokończenie ze str. 164

Wszak nie w przestrzeni kosmicznej, ale tutaj, na ziemi, przekonaliśmy się namacalnie, że naród, który wydał tak wielkich i wspaniałych humanistów, jak Luter, Koethe, Schiller, Wagner, Beethoven i wielu, wielu innych, zdolny był do czynów, uwłaczających godności ludzkiej. Czyż więc Ziemianie, opanowując kosmos, będą już tak wysoko stali, że wraz z techniką i wartościami humanistycznymi nie przeniosą na inne planety także czegoś z Kaina?

Wydaje mi się, że oprócz wspaniałej aparatury i gałązki bzu, pierwszy pojazd kosmiczny przede wszystkim powinien zawieźć we wszechświat przepiękne, a jakże nadal aktualne pozdrowienie, którym posługiwał się Zbawiciel. Pozdrowienie to nie powinno być pustym frazesem. Brzmi ono prosto, a jakże wymownie: POKÓJ WAM!

(rud)

Koncert muzyki dawnej w Łodzi

Zainteresowanie koncertami organowymi, które odbywają się w kościele Św. Mateusza w Łodzi, dawno już wybiegło poza ramy jedynie życia parafialnego. Łódzkie koncerty organowe, jedyne w tej chwili na terenie miasta, skupiły już rzesze swych stałych miłośników.

Ostatni koncert, który się odbył 18 maja 1960 roku swoim charakterem odbiegał nieco od poprzednich. Jego dodatnią stroną, urozmaicającą dotychczasowy charakter koncertów, był fakt, iż obok organów rozbrzmiewał śpiew i muzyka skrzypcowa. Ten pierwszy koncert wiosenny poświęcony był dawnej muzyce reprezentowanej twórczością muzyczną mistrzów XVI i XVII stulecia.

Aktualizując program obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, wykonawcy sięgnęli do bogatego skarbca polskiej kultury muzycznej, który wcale nie ustępuje w swoim artyzmie, sprowadzanym przez królowę Bonę mistrzom zachodnim.

Polska muzyka religijna w okresie „złotego wieku", który rozpoczął się za panowania Zygmunta Starego, swą oryginalnością i wielką liczbą zabytków oraz znamienną cechą przenikania do niej elementów muzyki świeckiej, wywarła też i swój wpływ na twórczości kompozytorów europejskich.

Charakterystyczne te elementy można było również wyczuć w utworach, które weszły w skład ostatniego programu koncertu łódzkiego. W pierwszej kolejności wykonane były miniatury organowe, jak: **„Preambulum" (czyli preludium — utwór wstępny) Mikołaja z Krakowa, „Villanela" wielkiego polskiego lutnisty, nadwornego muzyka króla Zygmunta Augusta, Wojciecha Długoraja, oraz misterne „Preludium" Jana Podbielskiego.** Wśród następnych wykonano concerto na sopran, skrzypce i organy **„Veni Consolator" — „Przybądź Pocieszycielu" Ojca Damiana,** rektora szkół pijarskich, a po nim cztery krótkie utwory organowe, spisane przez Jana z Lublina, a zawierające transkrypcje utworów **Mikołaja z Krakowa,** bądź innych, często anonimowych kompozytorów.

Dawna muzyka włoska reprezentowana była w ostatnim koncercie utworami dwóch kompozytorów: **Arcangelo Corelliego** oraz **Alessandra Stradelli.** Z utworów ich wykonano sonatę na skrzypce i organy **Corelliego** oraz pieśń Stradelli **„Łaski o Boże".**

Z dawnej muzyki niemieckiej wykonano utwory dwu najznakomitszych twórców niemieckich pierwszej połowy XVIII wieku — **Jerzego Fryderyka Haendla** oraz **Jana Sebastiana Bacha.** Na zakończenie koncertu wykonano Sonatę D-dur na skrzypce i organy oraz **Arię z Pasji wg Św. Mateusza: Preludium i fugę D-dur Bacha.**

Wykonawcami ostatniego koncertu byli: **Mirosława Sztajkowska** — sopran, **Bogusław Segiet** — skrzypce, **Mirosław Pietkiewicz** — organy. Ostatni koncert wiosenny był jednocześnie pierwszym, inaugurującym w tym roku koncerty w kościele Ś. Mateusza w Łodzi. Następne przewidziane są w zwiększonej częstotliwości, co pozwoli na usłyszenie utworów mało znanych, lub w ogóle dotąd jeszcze nie wykonywanych.

Ks. J. W.

Konstytucje wolnych państw afrykańskich a kościoły

DO niedawna prawie cały kontynent afrykański stanowił imperium kolonialne mocarstw europejskich, w szczególności Anglii i Francji. Choć misje chrześcijańskie przyszły do Afryki niemal równolegle z kolonializmem i niekiedy stanowiły, w pewnym sensie, jego instrument, to jednak w rzeczywistości były jedyną organizacją, podchodzącą do ludów tubylczych z hasłami braterstwa wszystkich ludzi, bez różnicy pochodzenia czy koloru skóry.

Było to naturalnym wynikiem religii chrześcijańskiej, opartej na miłości Chrystusowej. Tym się tłumaczy zapewne fakt, że narody afrykańskie, odrzuciwszy pęta kolonializmu, nie zajęły wrogiego stanowiska wobec Kościołów chrześcijańskich. Jedno się tylko zmieniło. Jeżeli do niedawna kierownictwo i hierarchia kościelna spoczywały w rękach ludzi białych, obecnie jesteśmy świadkami całkowitego usamodzielnienia się miejscowych Kościołów, co stanowi ogromny sukces zarówno dla Kościoła jako takiego jak i dla ludności afrykańskiej.

Stosunek nowo powstałych państw afrykańskich do Kościołów znajduje pełne odzwierciedlenie w konstytucjach. Chciejmy się przeto zapoznać z tymi paragrafami, które mówią o religii.

Wstęp do konstytucji **LIBERII** mówi: **„My, naród Liberii w Afryce, uznajemy z głęboką wdzięcznością dobroć Bożą, która nas obdarowała błogosławieństwami religii chrześcijańskiej oraz polityczną, religijną i obywatelską wolnością".** W jednym z artykułów konstytucji czytamy: **„Każdy człowiek ma naturalne i nie do zbycia prawo czcić Boga zgodnie z potrzebami jego sumienia, bez ingerencji i przeszkód ze strony innych: wszyscy, którzy się spokojnie zachowują i innym w wykonywaniu ich kultu religijnego nie przeszkadzają, mają prawo do obrony ustawowej, jeśli chodzi o wyznawanie własnej religii i żaden Kościół chrześcijański nie ma prawa posiadać specjalnych przywilejów albo uprzywilejowane stanowisko w stosunku do innych wyznań".** Konstytucja w dalszym ciągu wyraźnie zastrzega, że piastowanie jakiegokolwiek urzędu państwowego nie może być uzależnione od wyznania danego kandydata.

Nieco inne podejście do religii znajdujemy w konstytucji niepodległego od dawna państwa, jakim jest **ETIOPIA.** Czytamy tam m. in.: **„Religią cesarstwa jest religia etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego, która w IV w. została ugruntowana na nauce św. Marka. Jako Kościół państwowy otrzymuje on pomoc finansową ze strony państwa. Cesarz musi być wyznawcą etiopskiej religii ortodoksyjnej. Przy wszystkich funkcjach religijnych musi być wymieniane imię cesarza".** Niezależnie od uprzywilejowanego stanowiska Kościoła ortodoksyjnego zgodnie z 40 art. Konstytucji może **„każdy mieszkaniec Etiopii swobodnie wykonywać ustanowione obrządki wybranej przez siebie religii i wyznania, jednakże pod warunkiem, że nie naruszy porządku publicznego i moralności i że nie będzie nadużywał religii dla celów politycznych lub innych".**

ERYTREA gwarantuje z naciskiem swobodę sumienia i religii. Konstytucja opiera się na wierze w Boga, Pana Wszechrzeczy. Najwyżsi dostojnicy państwowi oraz sędziowie składają przysięgę „przed Bogiem Wszechmogącym". Konstytucja dopuszcza jednakże dla inaczej wierzących inną formę przysięgi.

Tymczasowa konstytucja **EGIPTU** z dnia 10 lutego 1953 r. gwarantuje równość wszystkich Egipcjan przed prawem. Artykuł 4 zapewnia wolność wyznania i przyrzeka obronę prawną dla każdego kultu religijnego, o ile kult ten nie stoi w sprzeczności z przyjętymi obyczajami i nie narusza publicznego porządku. Nowa konstytucja z r. 1956 czyni z Islamu religię państwową, choć wyznanie mahometańskie nie jest zastrzeżone dla prezydenta.

W **LIBII** mahometanizm jest również uznany za religię państwową. Król musi wyznawać islam. Poza tym wszyscy obywatele są równi przed prawem bez względu na religię, wyznanie, rasę, język, polityczne i społeczne zapatrywania. W art. 192 zawarta jest specjalna gwarancja, obejmująca niemahometan.

Konstytucja **Południowo - Afrykańskiej Unii** z dnia 20 września 1909 r. mówi w 1 artykule: **„Narody Unii uznają suwerenność i kierownictwo wszechmocnego Boga".** Wolność religijna poszczególnego obywatela w niczym nie jest ograniczona. Jednakże zmiany, zaprowadzone w konstytucji w r. 1934 przewidują daleko idące przywileje dla ludności białej. Obecny rząd przeprowadził rygorystyczną segregację rasową także na odcinku kościelnym. Białym i czarnym zabrania się chodzić do tych samych kościołów. Rząd południowoafrykański jest najreakcyjniejszym rządem całej Afryki, potępianym przez cały postępowy świat. Ostatnio Światowa Rada Kościołów zaprotestowała przeciwko segregacji rasowej, która doprowadziła do znanych krwawych zaburzeń.

Młodzież a misja w Azji i Afryce

Referat pod powyższym tytułem wygłosił w kwietniu na konferencji misyjnej w Berlinie ks. Filip Potter z Jamajki, który jest od wielu lat referentem młodzieżowym Światowej Rady Kościołów w Genewie. Mówił on, że wielki przyrost naturalny wśród ludów Azji i Afryki daje w wyniku znaczną przewagę ludzi młodych nad starymi. Ponad 50% ludności to osoby, które nie przekroczyły jeszcze 20 lat.

Młodzież ta chce sama życie swoje kształtować, chce mieć swój udział w postępie techniki i cywilizacji, lecz nie pragnie „opieki" ze strony Zachodu. Podobnie jest z pozycją Kościoła w Azji i Afryce. I Kościół chce iść własną drogą, w braterskiej społeczności z Kościołami Zachodu, lecz odpowiedzialność za zwiastowanie Ewangelii i kształtowanie życia kościelnego pragnie wziąć na własne barki. „Stary Kościół" winien się powodować miłością, wykazując zrozumienie dla tego rodzaju słusznych tendencji.

Protestanci francuscy za laicką szkołą

W grudniu ubiegłego roku parlament francuski uchwalił nową ustawę szkolną, na mocy której szkoły prywatne (niemal w całości katolickie) mają korzystać ze stałych bardzo pokaźnych dotacji. „Federation protestante de l'enseignement public" w swym niedawno ogłoszonym oświadczeniu wypowiada się przeciwko dotowaniu tych szkół przez Państwo i za utrzymaniem szkół laickich, co jest najlepszą gwarancją zachowania wolności sumienia i jedności narodu.

Ze względu na to, że większość szkół prywatnych znajduje się w rękach Kościoła katolickiego, Związek Protestantów upatruje w nowej ustawie uprzywilejowanie Kościoła katolickiego. Opłacenie przez Państwo katechetów wyznaniowych stanowi pośrednie utrzymywanie części kleru.

W zakończeniu oświadczenia czytamy, że wprowadzenie nowej ustawy w parafiach, gdzie są szkoły konfesyjne, grozi wybuchem nowej „wojny szkolnej".

„Nie bądźcie współwinni przez swoje milczenie"

Afrykańscy studenci z 14 krajów zebrali się w Domu im. Johna Knoxa w Genewie, na sześciodniową wymianę zdań, po czym zwrócili się z apelem do swoich Kościołów, ażeby przez swoje milczenie **„nie stały się współwinne wydarzeń tego świata, lecz raczej głośno się opowiadały za pokojem i harmonią, w równości i sprawiedliwości".**

W rezolucji, skierowanej do Światowej Rady Kościołów studenci ubolewają nad brakiem jedności wśród Kościołów, co wywiera bardzo ujemny wpływ na społeczność chrześcijańską w Afryce. Studenci proszą Radę o wzmożenie wysiłków w celu doprowadzenia do jedności wszystkich Kościołów chrześcijańskich.

Podobna konferencja ma się odbyć z inicjatywy Rady Kościołów we wrześniu br. dla studentów chrześcijańskich, pochodzących z państw azjatyckich.

W kilku wierszach

— W ruinach starej katedry w Coventry przemawiał w nabożeństwie brytyjski minister komunikacji Marples na temat chrześcijańskiego zachowania się w ruchu ulicznym. Temat przemówienia brzmiał: „Miłuj bliźniego swego na ulicy, jak siebie samego".

☆

— Policja hiszpańska skonfiskowała w nocy na Wielki Piątek 72 000 ulotek o treści religijnej, ewangelickiej.

☆

— W ramach akcji „Znak ekspiacji" udaje się w maju 25 młodych Niemców (NRD) do Norwegii, gdzie w małej wiosce Hammerfest mają wybudować kaplicę.

☆

— Kościół luterański w Alzacji-Lotaryngii, liczący 240 000 dusz, stoi w obliczu katastrofalnego braku pastorów. Dla 232 parafii i 145 filiałów stoi Kościołowi do dyspozycji zaledwie 139 ordynowanych duchownych.

☆

— Na zarządzenie kardynała-sekretarza Tardiniego, nie wolno w bazylice św. Piotra w Rzymie udzielać ślubów małżeństwom mieszanym.

☆

— Luteranie z 13 krajów zebrali dotąd 480 000 dolarów, przeznaczonych na budowę luterańskiej radiostacji dla Afryki, która zostanie wybudowana w Addis Abebie.

☆

— Biskup szwedzki, J. Smemo, oświadczył, że jego zdaniem ordynacja kobiet na pastorów sprzeciwia się Słowu Bożemu i wyraził obawy, że krok ten przyniesie poważne szkody Kościołowi.

☆

— Wnioski o przyjęcie w poczet członków Światowej Rady Kościołów złożyły następujące Kościoły: Luterański Kościół w Tanganice centralnej (22 tys. dusz), Luterański Kościół Usambara-Digo w Tanganice (28 tys. dusz), Ovambokavango, Kościół w południowo-zachodniej Afryce (113 tys. dusz) i Luterański Kościół na Taiwanie (4500 dusz).

☆

— Ewangelickie Dni Kościoła (Kirchentag) 1961 odbędą się w Berlinie.

☆

— Amerykańska Misja Prezbyteriańska udzieliła nowo powstałemu Kościołowi Prezbyteriańskiemu w Kongo zupełnej niezależności.

☆

— Sąd w Melbourne (Australia) skazał członka sekty Świadków Jehowy na karę więzienia za to, że ze względów religijnych nie zezwolił na dokonanie na swojej córce transfuzji krwi. Córka zmarła.

KRONIKA STOŁECZNA

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

PARAFIA EWANGELICKO-REFORMOWANA ul. Świerczewskiego 74

3.VII.60. (III niedz. po Trójcy św.)
godz. 10 – nabożeństwo z Kom. św.
Ks. Jan Niewieczerzał

17.VII.60. (IV niedz. po Trójcy św.)
godz. 10 – nabożeństwo
Ks. Jan Niewieczerzał

17.VII.60. (V niedz. po Trójcy św.)
godz. 10 – nabożeństwo
Ks. Jan Niewieczerzał

24.VII.60. (VI niedz. po Trójcy św.)
godz. 10 – nabożeństwo
Ks. Wł. Paschalis

31.VII.60. VII niedz. po Trójcy św.)
godz. 10 – nabożeństwo
Ks. Jan Niewieczerzał

PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA ŚW. TRÓJCY Plac Małachowskiego

3.VII.60. (III niedz. po Trójcy św.)
godz. 10 – nabożeństwo z Kom. św.
godz. 9,45 spowiedź
Ks. Zygmunt Michelis

10.VII.60. (IV po Trójcy św.)
godz.10 –nabożeństwo z Kom. św.
godz. 9,45 spowiedź
Ks. Ryszard Trenkler

17.VII.60. (V niedz. po Trójcy św.)
godz.10 –nabożeństwo z Kom. św.
godz. 9,45 spowiedź
— Ks. Zygmunt Michelis

24.VI.60. (VI niedz. po Trójcy św.)
godz.10 –nabożeństwo z Kom. św.
godz. 9,45 spowiedź
Ks. Ryszard Trenkler

31.VII.60. (VII niedz. po Trójcy św.)
godz.10 –nabożeństwo z Kom. św.
godz. 9,45 spowiedź
Ks. Otton Krenz

Konferencja Światowej Rady Wychowania Chrześcijańskiego i Związku Szkół Niedzielnych

W dniach od 25 do 30 kwietnia br. odbyła się w miejscowości szwajcarskiej Boldern k. Zurychu tegoroczna konferencja Światowej Rady Wychowania Chrześcijańskiego i Związku Szkół Niedzielnych, zwołana przez Brytyjski Komitet tej instytucji dla krajów europejskich, azjatyckich i afrykańskich. Obecnych było 44 przedstawicieli różnych protestanckich Kościołów z wymienionego obszaru. Przedstawicielem polskich Kościołów chrześcijańskich zjednoczonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej był ks. O. Krenz. Przedmiot konferencji stanowiła sprawa wychowania chrześcijańskiego przez Szkoły Niedzielne i nabożeństwa dla dzieci. Wygłoszono i przedyskutowano na konferencji dwa podstawowe referaty: pierwszy — dr. E. H. Robertsona — przedstawiciela Światowej Rady Kościołów z Genewy, na temat „Najważniejsze czynniki w używaniu Biblii" (w języku angielskim); drugi — prof. D. K. Fröra z Erlangi — rozłożony na 3 sesje z poszczególnymi tematami: 1. Miejsce dziecka w nabożeństwie Kościoła; 2. Metody ujmowania historii biblijnych dla dzieci; 3. Stanowisko nabożeństwa dla dzieci w katechumenacie Kościoła (w języku niemieckim).

Przedstawiciele kościołów biorący udział w konferencji składali krótkie sprawozdania ze stanu nauczania religijnego w Szkołach Niedzielnych i nabożeństwach dla dzieci w swoim kraju. W Polsce mamy ogółem (w 5 Kościołach protestanckich) 280 Szkół Niedzielnych, do których uczęszcza ok. 7600 dzieci w wieku od lat 4 do 16. W większości tych Szkół odprawiane są nabożeństwa dla dzieci, nauczanie zaś odbywa się systemem grupowym. Tylko w małych zborach wszystkie dzieci razem stanowią jeden komplet.

K.

Czy znasz Biblię i historię Kościoła

Przypominacie sobie zapewne artykuł „Pomyśl i spróbuj" z marcowego numeru MJ. Temat tam poruszony kontynuujemy dzisiaj i dajemy Ci jeszcze trochę materiału do myślenia i działania. Przede wszystkim do działania.

Z kilku ośrodków jednocześnie doniesiono nam o jeszcze jednej formie spędzania czasu na spotkaniach młodzieżowych. Są to mianowicie błyskawiczne konkursy na temat, podany w tytule niniejszej notatki. Opisano nam kilka sposobów przeprowadzania takiego konkursu, z których dwa tutaj ogłaszamy.

Pierwszy polega na tym, że odpowiednio do ilości uczestników, organizatorzy odbijają na maszynie teksty, zawierające szereg (np. 10) znanych cytat. W każdym z nich brak jednego, charakterystycznego słowa (imienia, nazwy miasta) np. **„Uchodź do Egiptu i bądź tam aż ci powiem; albowiem... będzie szukał dzieciątka, aby je zatracić". Odpowiedź, oczywiście — Herod.** Dla ułatwienia można na końcu tekstów podać w porządku alfabetycznym, lub pomieszane, wszystkie, stanowiące rozwiązanie wyrazy. Uczestnicy konkursu wypełniają kartki-teksty i podpisują swoim nazwiskiem. Wygrywa ten, kto zrobił najmniej błędów. Ta forma jest prostsza organizacyjnie, lecz nieco mniej atrakcyjna, niż druga, która ma charakter zbliżony do quizów radiowych i telewizyjnych.

W tym przypadku osoba, prowadząca konkurs, zadaje np. po trzy pytania kolejno wszystkim uczestnikom, następnie po trzy trudniejsze już tylko tym, którzy odpowiedzieli na poprzednie. W ten sposób, drogą eliminacji wyłania się zwycięzcę. Druga osoba notuje zdobyte przez uczestników punkty.

Przy dobrej organizacji można ograniczyć czas do 20 sekund, po czym ułatwia się zadanie przez podanie zgadującemu trzech odpowiedzi, z których jedna jest właściwa. **Jeżeli odpowiedź trafna nastąpiła dopiero przy takiej pomocy, notuje się, oczywiście odpowiednio mniej punktów (np. 1/2) Przykład: Pytanie — Jak się nazywał najwyższy kapłan, który sądził Jezusa? Jeśli pytany nie wie, podpowiada się — Annasz, Kaifasz czy Piłat?**

Pytania należy układać w zależności od poziomu uczestników od bardzo łatwych do bardzo trudnych. Napiszcie do nas, czy spróbowaliście u siebie tego rodzaju konkursów i jak się Wam udały. Jeśli macie trudności w układaniu pytań, to napiszcie do nas, a wyślemy wam odpowiednie wzory.

Cena zł 4.—